

POEZJA ŁÓDZKIEJ ULICY

CZERWONE CIERNIE

pies andaluzyjski

ODGŁOSY

ROK XIX NR 18 (960)

29 KWIETNIA 1976 r.

CENA 3 ŻŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REPORTAŻ

JERZY WAWRZAK

POCIĄGI PRZYJAŹNI

1. Na Dworcu Białoruskim w Moskwie, podczas oficjalnego powitania, zapamiętałem liczbę charakterystyczną: jesteście w tym roku siedemnastym pociągiem z Polski. A była to ostatnia dekada marca. Całą statystyką zająłem się jednak dopiero po powrocie do Łodzi. W Moskwie i Leningradzie byłoby to jakby „trochę nie na miejscu...”

2. Wraz z trzyosobową grupą łodzian wsiadłem do radzieckiego pociągu podstawionego wczesnym popołudniem na stację Łódź-Kalliska. Nadgorliwie przyszedłem punktualnie i ponad godzinę przyglądałem się różnym scenom pożegnań, oficjalnych i całkiem prywatnych. Z tłumu na peronie wynurzyła się postać znajomka. — Jędziesz? — Niestety, odpowiadam kumpła. Jak mi się uda, może pojedę następnym pociągiem.

Wreszcie ruszamy. W przedziale sympatyczne towarzystwo. Nie zdradzamy swojej profesji, mówimy o wszystkim, tylko nie o sobie i swojej pracy. Jakże to ma znaczenie: kto jest kto? Ot, na kilka dni skojarzył nas przypadek, i nie trzeba z tego wyciągać dalszych wniosków.

Do Warszawy, jak zwykle kolejowym truchtem. Tutaj jakiś czas postój, dosiada się grupa ZBoWiD-owców z warszawskiego okręgu na czele z gen. Leonem Dubicim. Szukam „szefa politycznego” naszego pociągu, prof. dra Władysława Bortnowskiego, wiceprzewodniczącego Zarządu Łódzkiego TPP-R, ale zniechęcają mnie sprzeczne informacje. Jak na razie kierownictwo nikomu do szczęścia nie jest potrzebne. Zresztą w każdym wagonie jest pilot „Orbisu” (ta firma wraz z radzieckim „Inturistem” zajmuje się organizacją wyjazdów). Naszego pilota można nawet uznać za nadgorliwca; tak się stara, żeby być w porządku. I to mu się w końcu udaje.

Dobę później Moskwa. Na trasach radzieckich niecierpliwosć trzeba zostawić w domu. Spieć doskonale w rozkołysanym wagonie, stukocie kół. Cały dzień to czas na rozmowy, lektury, patrzenie w bezkresną przestrzeń za oknem, gdzie poła pod ostatnim marcowym śniegiem, jakiego osady, wielka rosyjska równina. Jest czas na podumanie o pozostawionych sprawach, którym dobrze robi dystans...

3. Moskwa. Przed dwoma laty przebywałem tu jakiś czas z delegacją pisarzy. Obecne kilka dni, mimo odmiennej roli do spełnienia, znowu kieruję na te same szlaki. Myślami i później całkiem konkretnie. Na razie słucham siwego weterana wojny. Wita naszą grupę w imieniu swej organizacji i Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Odpowiada ze swa-

dą i znajomością swej powinności prof. Bortnowski. Tutaj jeszcze próba tłumaczenia przemówień, ale później to niepotrzebne. Znajomość rosyjskiego, podobieństwa języków. Nasz szef delegacji na wszelki wypadek do gospodarzy zwraca się po rosyjsku, akcenty ogólniejsze, głównie pod adresem uczestników „pojazdu drużby” wygłasza po polsku. Dopiero teraz rozmawiamy z profesorem. Krótko, okazji przez następne wieczory nie zabraknie. Autokary „Inturistu” wiozą nas do hotelu „Belgrad”.

To świetny hotel, duży (18 kondygnacji), nowoczesny nie tylko w stylu architektonicznym, ale i organizacyjnie. Pokoje z łazienkami, telefonami, wygodne łóżka i dobry stół. Cóż więcej kilkudniowemu turyście potrzeba!

4. Nazajutrz sobota, dzień w Związku Radzieckim wolny od pracy. O tym zapomniałem, z odwiedzinami znajomych trzeba poczekać do poniedziałku. Tak więc towarzyszę swojej grupie. Trasy znajome. Jednak zdecydowana większość uczestników „pociągu” jest tu po raz pierwszy. Ja, trzeci raz. Ale czy można naprawdę poznać Moskwę? I czy można napatrzeć się do woli na Kreml, Cerkiew Wasyla Błogosławionego, nie pojechać jeszcze raz na Wzgórze Leninowskie, nie powalać się po Starym i Nowym Arbatie, nie przespacerować się Prospektem Gorkiego?

Program wycieczki jest dobrze pomyślany. Ma on w sobie walory turystyczne i — powiedziałbym — edukacyjne. To okazja nie tylko do „zaliczenia” folderowych atrakcji, ale poznania świadectw kultury bratniego narodu i jego społeczno-politycznego rodowodu. Muzeum Lenina w konserwacji, ale jest Muzeum Rewolucji, najlepsza lekcja historii, która i nas dotychczas i dotyczy nadal. Kreml, wzorcowy przykład pieczołowitości dla pamiętek przeszłości. Zbrojownia — skarbiec, gdzie równieśna carom Europa i własne dowody potęgi, puchy złoto-diaamentowych tronów. Widzę to po raz pierwszy. Robi wrażenie to siedem wieków (XII—XIX) nie tylko bogactwem, ale kunsztem mistrzów, w większości nie podpisanych,

Dalszy ciąg na str. 5

1 MAJA



twój pochod ojciec
zaczynał się
z ulicy Południowej
krzychałeś niech żyje
kiedy szablą
znaczyli ci twarz
w żyłach krwi mojej
twój okrzyk
kolorowym kwiatem
słonecznych ludzi
słonecznych domów
słonecznych miast
dziś idziemy w pochodzie
od fabryk
od maszyn
idziemy słoneczni
w nasz pierwszy maj

BOGUSŁAW SIKORSKI



MARIAN STROBIN

WSPÓLNY FRONT

W latach 1934—1935 w obu polskich partiach robotniczych — KPP i PPS dojrzały koncepcje zjednoczenia wysiłków w walce z reżimem sanacyjnym. W sukces dążeniem jednolitofrontowym przysły uchwały VII Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej z lipca 1935 roku.

KPP, reagując na tę okoliczność, stwierdzała: „Chcąc skupić we froncie ludowym wszystkie antyfaszystowskie i demokratyczne organizacje, komunistki wysuwają taki program walki, który odpowiada potrzebom

i nastrojom najszerzych mas robotników, chłopów, pracującej inteligencji, rzemieślników, drobnych kupców”

Dążenia KPP do współpracy z PPS w Łodzi wystąpiły dość silnie w 1935 roku. Na uwagę zasługuje odezwa LKO KPP z sierpnia 1935 roku, w której komuniści łódzcy w sposób wyraźny i zdecydowany określili swoje stanowisko: „Oświadczamy, iż gotowi jesteśmy rozpatrywać wszelkie propozycje PPS idące po linii walki z ofensywą burżuazji i faszystów”

Hasła jednolitofrontowe stały się popularne we wszystkich organizacjach robotniczych, w organizacjach chłopskich, w związkach zawodowych, w organizacjach młodzieżowych, wśród postępowej inteligencji.

Jednak idee jednolitofrontowe realizowały się głównie w strajkach masowych. W roku 1936 strajkowało w całym kraju 675 tys. robotników z 23 tys. zakładów pracy.

Dalszy ciąg na str. 3

W latach 1971-75, w wyniku konsekwentnej realizacji uchwały Biura Politycznego i Prezydium Rządu dot. rozwoju i modernizacji Łodzi nastąpiło wydatne unowocześnienie potencjału przemysłowego, poprawiła się znacznie jakość i nowoczesność produkowanych wyrobów. W wyniku wprowadzenia na szeroką skalę nowoczesnych technik i technologii wytwarzania, znacznego wzrostu kwalifikacji i zaangażowania załóg oraz kadry inżynierki-technicznej uruchomiona została produkcja wielu wyrobów nowymi technikami, które reprezentuje wysoki standard światowy. Nastąpił dynamiczny i nowy jakościowy wzrost produkcji, który pozwalał nie tylko coraz lepiej zaspokajać rosnące potrzeby rynku krajowego, ale znacznie powiększyć produkcję eksportową, bardziej dostosowaną do wymagań odbiorców zagranicznych.

Wysoko oceniając dorobek w tym zakresie — Plenum Komitetu Łódzkiego PZPR, obradujące w dniu 26 marca — stwierdziło potrzebę podjęcia nowych, znacznie wyższych zadań dla zabezpieczenia pełnej realizacji uchwały VII Zjazdu partii. Lata 1976-80 nazwalibyśmy przecież pięciolatką jakości, jako jedyną drogą pozwalającą osiągnąć wyższy poziom życia narodu. W referacie wygłoszonym na Plenum przez tow. S. Bajurę, sekretarza KL, w dyskusji w której wzięło udział kilkunastu towarzyszy i w podsumowaniu tow. Bolesława Koperskiego, I sekretarza KL podjęto cały szereg problemów, które w sumie pozwoliły na określenie (w formie uchwały Plenum) „kierunków poprawy jakości i nowoczesności w latach 1976-80”.

Nim pówny o programie poprawy jakości i nowoczesności, przypomnijmy kilka charakterystycznych momentów określających bazę wyjściową do przyszłych działań. Ubiegłą pięciolatkę charakteryzowała wysoka dynamika produkcji, a szczególnie szybki wzrost potencjału produkcyjnego nastąpił w latach 1973-75. Postęp tego okresu najlepiej charakteryzuje wzrost technicznego uzbrojenia pracy, z poziomu 143 tys. zł na jednego zatrudnionego do 223 tys. zł. Zbudowano 37 nowych przedsiębiorstw oraz ponad 100 zmódniszowano. Uruchomiono na szeroką skalę wiele nowoczesnych technik i technologii, m.in.: produkcję dzianin tkaninopodobnych, teksturowanych włókien chemicznych, dywanów, przędzy w systemie bezwzrconowym WIR, nowoczes-

nych gazników, urządzeń klimatyzacyjnych, sprzętu do automatyki pomiarowej itp.

Pozwoliło to na systematyczny wzrost jakości i nowoczesności wyrobów.

I tak w przemyśle bawełnianym w roku 75 wyprodukowano tkaniny o wartości ponad 28 mld zł przy wskaźniku I jakości tkanin ok. 84 proc. Ponad 9 proc. wyrobów tej branży posiada znak jakości, a nowości asortymentowe w ub. r. osiągnęły wartość ponad 22%.

Przemysł dziewiarsko-techniczny dał produkcję wartości ponad 30 mld zł przy wskaźniku I jakości na poziomie 77 proc. (W r. 75 przemysł

czas, jak się ocenia, Instytut w zbył małym stopniu wpływały na kształtowanie jakości produkcji, zarówno w fazie projektowania jak i wdrażania.

Także ważnym elementem poprzedzającym każdy system sterowania jakości jest oddziaływanie odbiorcy na producenta już w fazie programowania produkcji. Jest to czynnik rezerwowany do wszystkich potrzeb. Wyroby przeznaczone na rynek, jak zwracano uwagę w dyskusji, muszą oprócz kwalifikacji producenta czy handlu uzyskać społeczną akceptację.

Szeroko pomyślany i kompleksowy system sterowania

proc., a pod względem nowych asortymentów zaplanowano wzrosty będące wielokrotnością dotychczasowego poziomu.

Plenum Komitetu Łódzkiego uznało jednak, że zamierzenia te nie we wszystkich branżach zapewnią pożądany poziom jakości i nowoczesności. Niezbędne jest sformułowanie zadań dalece ambitniejszych i adresowanych do wszystkich uczestników procesu przygotowania i realizacji produkcji. W podjętej uchwale Plenum zobowiązuje zjednoczenia branżowe i przedsiębiorstwa do zweryfikowania i wzbogacenia owych programów w sposób kompleksowy i zatwierdzenia ich na Konferencjach Samorządu Robotniczego w drugim półroczu br. Programy te stanowią będą integralną część planu społeczno-gospodarczego na lata 1976-80.

W materiałach przygotowanych na Plenum, w referacie i dyskusji wskazywano z naciskiem na ludzki aspekt całego problemu, na potrzebę rozwijania go w sposób wszechstronny, jako zadanie stałe, długofalowe, na dziś i jutro. Mówiono o stosowaniu bodźców ekonomicznych, ale także moralnych i oddziaływaniu wychowawczym. Podawano liczne przykłady postaw ambitnych i zaangażowanych, inicjatyw i pomysłów (choćby „kluby jakości”), które spotykają się ze zrozumieniem i poparciem załóg pracowniczych.

Przypomniano słowa tow. Edwarda Gierka, który swego czasu powiedział:

„Fundamentem dla rozwoju socjalistycznej gospodarki, warunkującej wyższy poziom życia narodu jest wyższa jakość pracy wszystkich obywateli. Każdy pracownik, który wytworzą musi być przekonany, że sam sobie i swoim bliskim poprzez swoją pracę kształtuje dobrobyt. Dlatego niezbędna jest powszechność dobrej roboty, klimat sprzyjający łamaniu barier psychologicznych w postaci zubożenia na efekty pracy, a wyzwalający największe rezerwy jakie tkwią w etyce zawodowej ludzi pracy. Przekonanie, że można zrobić więcej i lepiej, że od wyników tej pracy zależy dzień dzisiejszy, jutro naszego narodu, jego pozycja na forum międzynarodowym, że dobry przykład namuszą wymowe niż najwzrostłejsze deklaracje, stanowią zewnętrzny wyraz patriotyzmu obywatela”.

ZŁOTY WITRAŻ

Zarząd Stowarzyszenia p.n. „DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH” w Łodzi al. Kościuski 33 funduje doroczną nagrodę „Złoty Witraż” za najwybitniejsze dzieło twórcze związane z naszym miastem.

Dotychczas nagrody otrzymali:
Andrzej Jurczak — aktor — za rok 1971.
Teresa Wojtaszek-Kubiak — solistka opery — za rok 1972.
Jerzy Bauer — kompozytor — za rok 1973.
Janusz Wyżnikiewicz — inż. arch. — za rok 1974.
Tradycyjna nagroda jest wręczana w czasie obchodów Łódzkiej Wiosny Artystycznej.

Kandydatów do nagrody za rok 1975, indywidualnych lub zespołowych, mogą zgłaszać zarządy poszczególnych związków twórczych naszego miasta oraz osoby prywatne. Pisemne zgłoszenia kandydatów z umotywowaniem prosimy kierować na adres Zarządu Domu Środowisk Twórczych do dnia 15 maja 1976 r.

INFORMACJE

ZESPÓŁ PIEŚNI
I TAŃCA
IM. STRZELCZYKA
W ŚWIĘTO
WŁÓKNIARZY

przemysłowe, pomoce szkolne itp. a także obrazy, rzeźby i ceramika.

ŁÓDZKIE SPOTKANIA
TEATRALNE

Z okazji Dnia Włókniarza odbył się w sali P.Cz. A. „Polonii” koncert w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca im. Strzelczyka Łódzkiego Domu Kultury. Zespół pod kierownictwem artystycznym i choreograficznym Władysława Lewandowskiego zaprezentował tańce narodowe, suitę tańców i przyspiewek opocznyskich oraz rzeszowskich. Kierownikiem muzycznym jest Henryk Blacha. Program ten powtórzony będzie przed publicznością Hoyerswerde (NRD) w dniach 1 i 2 maja br.

Zespół Pieśni i Tańca im. Strzelczyka istnieje od 1948 r. Występował on już wiele razy za granicą zbierając oklaski za program oparty na folklorze robotniczym Łodzi. Za swe osiągnięcia artystyczne Zespół został odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy i Honorową Odznaką Miasta Łodzi.

POLSKA WYSTAWA
W MOSKWI

W Moskwie została otwarta wystawa pod hasłem „Artysty — narodowi”. Tematem wystawy, na którą zgłoszono ponad trzytysiąc prac polskich twórców, jest człowiek i środowisko jego pracy, życia i odpoczynku. Ekspozycję są projekty architektoniczne, architektura wnętrz, wzornictwo

KONKURS NA
SŁUCHOWISKO

Ogłoszony został konkurs radiowy na słuchowiska: fantastycznonaukowe i popularnonaukowe. Tematyka słuchowisk jest dowolna: może obejmować zagadnienia zarówno wiedzy przyrodniczej i technicznej jak i nauk humanistycznych. Czas trwania audycji 25 do 30 minut, tzn. ok. 12 stron maszynopisu. Oryginał, nie opublikowane dotychczas teksty, opatrzone godłem nadsyłać należy w czterech egzemplarzach pod adresem: Polskie Radio, Naczelna Redakcja Programów Oświatowych i Popularnonaukowych, 00-950 Warszawa, skrytka pocztowa 46 „konkurs” do 15 września br.

PLASTYKA

RAJ ODZYSKANY Henryka Pióciennika

Henryk Pióciennik w secesyjnej galerii BWA przy ul. Wólczańskiej wystawił swoje płótna.

Nie będzie trudno odrzucić bagaż dotkliwych emocji codzienności i choć na chwilę wejść w gęstwinę tajemniczych lasów o pogmatwanych gałęziach, pełnych dorodnych owoców albo spacerować pośród srebrzących się kwiatów o pąkach ulotnych jak powiew wiatru. Zaproszenie artysty jest wymowne, a spacer może nie mieć końca — bo pejzaż ten ma urok rajskich ogrodów, a bujność czarodziejskich lasów i kwiatów obdarzona jest wieczną trwałością. Obrazy Pióciennika to jakby kolorowe przeźroczka jego grafik o barwach szlachetnych kamieni; autocynkografie uderzają czystością i niedostępnym już dziś warsztatowym mistrzostwem. Wszystko jest tu stonowane, lecz nie zagłuszone; wszystko zmierza ku dekoracyjności jakby wschodniego kobierca — lecz nie na tyle, by kształty lub barwy rozplynęły się czy zatępiły. Sztuka ta wywołuje reminiscencje muzyczne i poetyckie zarazem. Język jest prosty, choć sensu poszczególnych dzieł o zamkniętej znaczeniowo kompozycji nielatwo jest od razu odgadnąć.

Kim jest Pióciennik: symbolista? surrealistą? metafizykiem? Nie staje chyba pod znakiem z tych wielkich a efektownych sztandarów, kroczy własną drogą zatopiony w marzeniach o raju utraconym przez ludzi w codziennym zgiełku, a który siłą wyobraźni

twórcy staje się dla nas bardziej konkretny. Pióciennik nie zmienia stylu czy artystycznego gustu — nie zmienia zatem filozofii swej sztuki, bowiem tęsknota do Arkadyjskiej krainy zielonych lasów jest równie niezmienna. Sztuka ta jest więc potrzebna, choć nie odwołuje się do kosmogonii czy historiozofii, lecz jest prostym przypomnieniem o potrzebie zaufania dla spraw podstawowych, bliskich każdemu. Jej wartość — to głęboko osobista wzięta artysty i wiara odbiorcy w autentyczność przesłania.

Kolejna wystawa prezentuje również nieco odmienne od dotychczasowych, a dobrze nam znanych, poszukiwania. W nowych cyklach Pióciennik dyskretnie zmniejsza ekspresyjną grę kolorów, barwny horyzont rozjaśnia się na płótnach oglądamy pejzaże korałowych raf podmorskich. W grafikach — powracają akcenty realistyczne, odsuwając stylizację „Miodowych miesięcy” ostatnich lat. Artysta rezygnuje ze sztafazu (swego signum — pary zakochanych, zatopionych w kontemplacji bajecznego pejzażu) na rzecz symbolu oczyszczającego z przedmiotowości, lecz aluzyjnego, przywołującego kształty realne.

Pozostaje przy tym wciąż sobą, od dawna bowiem porusza się w kręgu rzeczy malarskich jemu tylko znanych najlepiej. Tę polowną ewolucję przyjmijmy jako naturalne prawo poszukiwań, bowiem kredyt wobec czasu i ludzi został już przez Pióciennika spłacony.

Andrzej Majer

KAROL STRAWIŃSKI

PIĘCIOLATKA JAKOŚCI I NOWOCZESNOŚCI

ten produkował już 36 proc. nowych asortymentów).

Przemysł jedwabniczo-dekoracyjny dał produkcję wartości ponad 26 mld, przemysł włókniany (Zjednoczenie „Północ”) 28 mld — przy większym jeszcze wskaźniku wyrobów I jakości.

Jeszcze lepsze efekty osiągnął przemysł odzieżowy ok. 30 mld zł wartości produkcji, osiągając wysoki, ustabilizowany poziom wyrobów I jakości ponad 92 proc.

Podobnie wysokie wskaźniki osiągnęły przemysły artykułów technicznych i galanterijnych, włókien chemicznych, gumowy.

Mimo tych osiągnięć analizy wykazują, że nie we wszystkich branżach czy przedsiębiorstwach rozwój ten przebiegał harmonijnie, zdarzają się przypadki obniżania wskaźników jakościowych. Zdarza się to także w nowo uruchamianych zakładach jak np. ZTK „Teofilów”. Wskazuje to na poważne rozmiary istniejących jeszcze i nie wykorzystanych rezerw na tym odcinku.

Muszą być one w bieżącej pięciolatkę jakości w pełni wykorzystane.

Ogromne rezerwy poprawy jakości tkwią we właściwym wykorzystaniu prac zaplecza naukowo-badawczego. Dotych-

czas, jak się ocenia, Instytut w zbył małym stopniu wpływały na kształtowanie jakości produkcji, zarówno w fazie projektowania jak i wdrażania. Także ważnym elementem poprzedzającym każdy system sterowania jakości jest oddziaływanie odbiorcy na producenta już w fazie programowania produkcji. Jest to czynnik rezerwowany do wszystkich potrzeb. Wyroby przeznaczone na rynek, jak zwracano uwagę w dyskusji, muszą oprócz kwalifikacji producenta czy handlu uzyskać społeczną akceptację.

Szeroko pomyślany i kompleksowy system sterowania

Problemy jakościowe w przemyśle, a pod względem nowych asortymentów zaplanowano wzrosty będące wielokrotnością dotychczasowego poziomu. Plenum Komitetu Łódzkiego uznało jednak, że zamierzenia te nie we wszystkich branżach zapewnią pożądany poziom jakości i nowoczesności. Niezbędne jest sformułowanie zadań dalece ambitniejszych i adresowanych do wszystkich uczestników procesu przygotowania i realizacji produkcji. W podjętej uchwale Plenum zobowiązuje zjednoczenia branżowe i przedsiębiorstwa do zweryfikowania i wzbogacenia owych programów w sposób kompleksowy i zatwierdzenia ich na Konferencjach Samorządu Robotniczego w drugim półroczu br. Programy te stanowią będą integralną część planu społeczno-gospodarczego na lata 1976-80.

W materiałach przygotowanych na Plenum, w referacie i dyskusji wskazywano z naciskiem na ludzki aspekt całego problemu, na potrzebę rozwijania go w sposób wszechstronny, jako zadanie stałe, długofalowe, na dziś i jutro. Mówiono o stosowaniu bodźców ekonomicznych, ale także moralnych i oddziaływaniu wychowawczym. Podawano liczne przykłady postaw ambitnych i zaangażowanych, inicjatyw i pomysłów (choćby „kluby jakości”), które spotykają się ze zrozumieniem i poparciem załóg pracowniczych.

Przypomniano słowa tow. Edwarda Gierka, który swego czasu powiedział: „Fundamentem dla rozwoju socjalistycznej gospodarki, warunkującej wyższy poziom życia narodu jest wyższa jakość pracy wszystkich obywateli. Każdy pracownik, który wytworzą musi być przekonany, że sam sobie i swoim bliskim poprzez swoją pracę kształtuje dobrobyt. Dlatego niezbędna jest powszechność dobrej roboty, klimat sprzyjający łamaniu barier psychologicznych w postaci zubożenia na efekty pracy, a wyzwalający największe rezerwy jakie tkwią w etyce zawodowej ludzi pracy. Przekonanie, że można zrobić więcej i lepiej, że od wyników tej pracy zależy dzień dzisiejszy, jutro naszego narodu, jego pozycja na forum międzynarodowym, że dobry przykład namuszą wymowe niż najwzrostłejsze deklaracje, stanowią zewnętrzny wyraz patriotyzmu obywatela”.

Przypomniano słowa tow. Edwarda Gierka, który swego czasu powiedział: „Fundamentem dla rozwoju socjalistycznej gospodarki, warunkującej wyższy poziom życia narodu jest wyższa jakość pracy wszystkich obywateli. Każdy pracownik, który wytworzą musi być przekonany, że sam sobie i swoim bliskim poprzez swoją pracę kształtuje dobrobyt. Dlatego niezbędna jest powszechność dobrej roboty, klimat sprzyjający łamaniu barier psychologicznych w postaci zubożenia na efekty pracy, a wyzwalający największe rezerwy jakie tkwią w etyce zawodowej ludzi pracy. Przekonanie, że można zrobić więcej i lepiej, że od wyników tej pracy zależy dzień dzisiejszy, jutro naszego narodu, jego pozycja na forum międzynarodowym, że dobry przykład namuszą wymowe niż najwzrostłejsze deklaracje, stanowią zewnętrzny wyraz patriotyzmu obywatela”.

Przypomniano słowa tow. Edwarda Gierka, który swego czasu powiedział: „Fundamentem dla rozwoju socjalistycznej gospodarki, warunkującej wyższy poziom życia narodu jest wyższa jakość pracy wszystkich obywateli. Każdy pracownik, który wytworzą musi być przekonany, że sam sobie i swoim bliskim poprzez swoją pracę kształtuje dobrobyt. Dlatego niezbędna jest powszechność dobrej roboty, klimat sprzyjający łamaniu barier psychologicznych w postaci zubożenia na efekty pracy, a wyzwalający największe rezerwy jakie tkwią w etyce zawodowej ludzi pracy. Przekonanie, że można zrobić więcej i lepiej, że od wyników tej pracy zależy dzień dzisiejszy, jutro naszego narodu, jego pozycja na forum międzynarodowym, że dobry przykład namuszą wymowe niż najwzrostłejsze deklaracje, stanowią zewnętrzny wyraz patriotyzmu obywatela”.

Przypomniano słowa tow. Edwarda Gierka, który swego czasu powiedział: „Fundamentem dla rozwoju socjalistycznej gospodarki, warunkującej wyższy poziom życia narodu jest wyższa jakość pracy wszystkich obywateli. Każdy pracownik, który wytworzą musi być przekonany, że sam sobie i swoim bliskim poprzez swoją pracę kształtuje dobrobyt. Dlatego niezbędna jest powszechność dobrej roboty, klimat sprzyjający łamaniu barier psychologicznych w postaci zubożenia na efekty pracy, a wyzwalający największe rezerwy jakie tkwią w etyce zawodowej ludzi pracy. Przekonanie, że można zrobić więcej i lepiej, że od wyników tej pracy zależy dzień dzisiejszy, jutro naszego narodu, jego pozycja na forum międzynarodowym, że dobry przykład namuszą wymowe niż najwzrostłejsze deklaracje, stanowią zewnętrzny wyraz patriotyzmu obywatela”.

Przypomniano słowa tow. Edwarda Gierka, który swego czasu powiedział: „Fundamentem dla rozwoju socjalistycznej gospodarki, warunkującej wyższy poziom życia narodu jest wyższa jakość pracy wszystkich obywateli. Każdy pracownik, który wytworzą musi być przekonany, że sam sobie i swoim bliskim poprzez swoją pracę kształtuje dobrobyt. Dlatego niezbędna jest powszechność dobrej roboty, klimat sprzyjający łamaniu barier psychologicznych w postaci zubożenia na efekty pracy, a wyzwalający największe rezerwy jakie tkwią w etyce zawodowej ludzi pracy. Przekonanie, że można zrobić więcej i lepiej, że od wyników tej pracy zależy dzień dzisiejszy, jutro naszego narodu, jego pozycja na forum międzynarodowym, że dobry przykład namuszą wymowe niż najwzrostłejsze deklaracje, stanowią zewnętrzny wyraz patriotyzmu obywatela”.

Przypomniano słowa tow. Edwarda Gierka, który swego czasu powiedział: „Fundamentem dla rozwoju socjalistycznej gospodarki, warunkującej wyższy poziom życia narodu jest wyższa jakość pracy wszystkich obywateli. Każdy pracownik, który wytworzą musi być przekonany, że sam sobie i swoim bliskim poprzez swoją pracę kształtuje dobrobyt. Dlatego niezbędna jest powszechność dobrej roboty, klimat sprzyjający łamaniu barier psychologicznych w postaci zubożenia na efekty pracy, a wyzwalający największe rezerwy jakie tkwią w etyce zawodowej ludzi pracy. Przekonanie, że można zrobić więcej i lepiej, że od wyników tej pracy zależy dzień dzisiejszy, jutro naszego narodu, jego pozycja na forum międzynarodowym, że dobry przykład namuszą wymowe niż najwzrostłejsze deklaracje, stanowią zewnętrzny wyraz patriotyzmu obywatela”.

ŻEBY NIGDY WIĘCEJ WOJNY

W roku 1945, pod naporem wojsk koalicji antyfaszystowskiej, zniszony został tzw. „nowy ład” budowany w Europie i Azji przez grabarzy systemu wersalskiego. Zwycięskie mocarstwa koalicji antyfaszystowskiej rozpoczęły budowę nowego układu świata.

Winston Churchill twierdził, że zarówno pierwsza, jak i druga wojna światowa były rezultatem tego samego procesu historycznego — dążenia Niemiec do uzyskania hegemonii w skali światowej. Rozumieli oni, że powalenie Niemiec czy nawet najbardziej dramatyczne warunki traktatów pokojowych dla państw Osi nie rozwiążą zagadnienia, bowiem Europa przestała być czynnikiem decydującym w skali światowej, a walka o prymat polityczny nie ustanie także po kapitulacji Niemiec i Japonii. Meżowie stanu (szczególnie brytyjscy) w latach trzydziestych tak ulegli obsesji Mussoliniego i Hitlera, iż nie docenili Hiroty i Konoje. Byli przeświadczeni, że spośród spraw, które działy się aż do roku 1939 ważne były jedynie te, które miały miejsce w Europie.

Dziś nie można już zrozumieć przebiegu wypadków w Europie, jeśli wyizolujemy je od procesu zmian, jakie zachodzą na świecie. Do czynników, które ułatwiły powstanie ruchów narodowo-wyzwoleńczych w Azji a następnie w Afryce należy wliczyć bezsprzecznie osłabienie wpływu mocarstw europejskich. Nagły upadek imperiów europejskich po 1947 roku był w dużym stopniu konsekwencją wydarzeń związanych z II wojną światową.

Faszyzm a szczególnie nazizm hitlerowski, reprezentował imperializm o szczególnym charakterze (np. militarnym i nacjonalistycznym). Tylko na faszyzmistycznym podłożu mogła wyrosnąć obłędna i zbrodnia doktryna narodu „nadludzkiego”. Cały wysiłek włożony przez państwa i narody walczące z państwami Osi był skierowany przede wszystkim przeciwko totalnemu charakterowi wojny, ja-

ki został narzucony ludom świata. W tej wojnie zacierano się tradycyjne pojęcie „teatru działań wojennych”. Toczyła się ona dosięgła do zaplecza frontu: w lasach, wsiach, w wielkich skupiskach miejskich. Wojna partyzancka była odpowiedzialna na wojnę totalną.

Od pierwszych tygodni II wojny światowej w Londynie i Paryżu uznano, że obok celu numer jeden, jakim było dążenie do militarnego pokonania przeciwnika, istniał zespół zagadnień dotyczących „polityki dnia jutrzejszego”. Ten zespół zagadnień, które składały się na cel numer dwa, to przede wszystkim sprawa wygrania pokoju po zwycięstwie militarnym, doprowadzenia do zbudowania takiego wojennego ładu w świecie, by II wojna światowa była wojną ostatnią.

Po utworzeniu Wielkiej Koalicji, tzn. po zaangażowaniu się w wojnę przeciwko państwom Osi — Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych oraz po pierwszych klęskach wojsk faszystowskich, zagadnienia „dnia jutrzejszego” stały się poważnym przedmiotem rozważań Wielkiej Trójki. Nastąpiło to w drugiej połowie 1943 roku w okresie trójstronnych spotkań przywódców: Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Wielkiej Brytanii.

Dyskusja przebiegała po liniach wytyczonych już w pierwszym okresie wojny, albowiem punktem wyjścia do wysuwania prognoz i zaleceń politycznych na przyszłość była krytyczna ocena „polityki międzynarodowej” okresu międzywojennego, przede wszystkim zaś wydarzeń składających się na genozę wybuchu wojny. I tak już w 1939 roku, w toku rozmów między rządem Rzeczypospolitej Polskiej na emigracji a rządem brytyjskim zgadzano się co do tego, iż granice przedwrześniowe Polski postawiły ją w fatalnej pozycji strategicznej. U podłoża zatem pierwszych wniosków związanych ze sprawą wojennego bezpieczeństwa w

Europie w ogóle leżała krytyczna ocena dzieła twórców traktatu wersalskiego. Dlatego uważano, że Polska po wojnie winna uzyskać niezbędne gwarancje bezpieczeństwa w postaci powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych. U podstaw dyskusji na temat oblicza powojennej Europy leżał integralny związek między wojennym bezpieczeństwem Polski a bezpieczeństwem ogólnoeuropejskim.

Podczas II wojny światowej trzykrotnie spotykali się szefowie trzech wielkich mocarstw, by omówić podstawowe problemy powojennego układu stosunków międzynarodowych: w Teheranie, w Jaicie i Poczdamie. Centralne miejsce w tych rozmowach zajmował problem niemiecki. Podstawowe pytanie brzmiało: w jaki sposób uniemożliwić Niemcom w przyszłości wszczynanie agresywnych wojen?

Najbardziej zainteresowanym sposobem ukształtowania powojennego ładu układowego w Europie był ZSHR. Rząd radziecki rozpoczął stosunkowo wcześnie rozmowy w tej kwestii — w grudniu 1941 roku z premierem rządu Rzeszy — Adolfe Hitlerem, a następnie z premierem rządu Rzeszy — Benito Mussolinim.

Najważniejszym spotkaniem Wielkiej Trójki i ostatnią konferencją międzynarodową o kraju II wojny światowej była konferencja szefów rządów w Poczdamie. W rozdziale trzecim układu poczdamskiego trzy wielkie mocarstwa oświadczyły: „niemiecki militarizm i narodowy socjalizm będą wyrwane z korzeniami”. Zobowiązali się również do wspólnych starań w przyszłości, „żeby

Niemcy już nigdy więcej nie stały się groźbą dla swych sąsiadów albo dla zachowania pokoju światowego”.

W przeciwieństwie do sytuacji po I wojnie światowej porządek stworzony w ramach Układu Poczdamskiego stał się podstawą porządku terytorialnego i politycznego przetrwania utrwalenia pokoju w Europie i na świecie. Dając gwarancję bezpieczeństwa ofiarom agresji państw Osi, Poczdam stworzył równocześnie realne przesłanki respektowania podstawowych interesów życiowych narodów Niemiec, Włoch i ich byłych satelitów, łącząc perspektywy ich pomysłowego rozwoju z opcją demokratyczną i antyfaszystowską, z programem budowy pokoju i wyrzeczenia się ducha rewanżu, reżymu i militarystyki. Podstawowe treści umów zawartych w Poczdamie opierały się na wspólnym przekonaniu stron konferencji, że ich porozumienia zapewnią powstanie trwałego i sprawiedliwego pokoju i że osiągnięcie tego nastąpi we współpracy wielkich mocarstw z innymi uczestnikami koalicji Narodów Zjednoczonych.

Kierunki walki mas ludowych w krajach demokracji ludowej o narodowe i społeczne wyzwolenie, o przeobrażenia demokratyczne, o stworzenie przyjaznych stosunków między narodami, o stworzenie demokratycznego porządku społecznego w powojennej Europie były i są zgodne z podstawowymi postanowieniami Układu Poczdamskiego. Układ Poczdamski dał prawny wyraz właściwemu rezultatowi antyfaszystowskiej walki wyzwolitej. ZSHR i inne państwa wspólnoty socjalistycznej walczyły od samego początku o Europę pokoju i bezpieczeństwa, o równoprawną pokojową współpracę, odpowiadającą postanowieniom Układu Poczdamskiego. Centralna myśl układu — umocnienie pokoju i zbudowanie skutecznego systemu bezpieczeństwa w Europie — leżała u podstaw powojennego układu „stosunków międzynarodowych”.

W tym celu państwa socjalistyczne walczyły o umocnienie pokoju i zbudowanie skutecznego systemu bezpieczeństwa w Europie — leżała u podstaw powojennego układu „stosunków międzynarodowych”.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARVY (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ MAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC



Foto: Archiwum

WSPÓLNY FRONT

Dalszy ciąg ze str. 1

W Łodzi i okolicy już 2 marca 1936 r. rozpoczął się strajk włókienniczy, który objął 150 tys. robotników przemysłu włókienniczego. Zwycięskie zakończenie strajku proletariatu łódzkiego w połowie marca było niejako impulsem wystąpienia robotniczych w całej Polsce. Wskazywało ono również na konkretne korzyści, jakie przynosi wspólne działanie komunistów i socjalistów. „Był to pierwszy wielki strajk — pisał „Czerwony Sztandar” — od początku do końca jednolitofrontowo przygotowany i prowadzony”.

Od marca komunistów rozpoczęli też agitację pierwszomajową. W jednej z odezw ŁKO KPP czytamy m. in.: „(...) wyjdźmy w jednolitym frontie na ulice, pokażemy faszystowskiemu prowokatorowi wojny proletariacką pięć gotową do walki przeciwko faszystom i wojnie, o pokój, wolność, pracę i chleb”.

Do jednolitofrontowych obchodów majowych przygotowywała się również PPS. Szczególną aktywność wykazywali szeregowi członkowie tej partii. Było to charakterystyczne dla wszystkich terenowych organizacji PPS, mimo że prawica pepesowska, zwłaszcza na szczeblu centralnym, zachowywała w tej kwestii wyraźną rezerwę.

Miały więc powód do niepokoju państwowe władze terenowe. „Działalność PPS w miesiącu kwietniu bardzo się wzmogła — pisał w sprawoz-

danu wojewoda łódzki — a szła głównie pod hasłem przygotowań do obchodu 1 maja (...) do tworzenia frontu ludowego (...) W Łodzi kierunek radykalny wziął zdecydowanie górę (...).

Atmosferę i rozmach jednolitofrontowego pochodu w Łodzi w 1936 roku najlepiej oddają relacje jego uczestników.

Wspominał jeden z komunistów łódzkich: „Tego jeszcze nie było w Łodzi (...). Od ulicy Zielonej i Narutowicza wzdłuż ul. Piotrkowskiej do Placu Wolności na większości domach i balkonach powiewały czerwone flagi, a obserwujących pochód widać było w każdym oknie (...). W czasie przemarszu pochodu przez Plac Wolności sylwetka portretu Lenina uwidoczniła się w całej swojej majestatyczności. Na zakęcie z Placu Wolności na 11 Listopada (obecnie Obrońców Stalingradu) pochód się przedłużył na większe odstępki. W tym momencie wyskakuje zgraja szpicli i policja z bagnietami (...), wrywają portret Lenina z rąk niosących (...), pochód idzie dalej, za chwilę ukazują się sztandar KPP (...). Gdy pochód przechodzi kolo więzienia na ul. Gdańskiej, dochodzą nas okrzyki na cześć KPP (...). Hasła na cześć KPP i zwolnienia więźniów politycznych podtrzymywane były przez stojących na trotuarze widzów. Pochód dotarł na Polesie (...). Trudno byłoby rozpoznać, kto jest komunistą, bezpartyjnym, czy działaczem PPS, była to zdecydowana siła manifestujących (...).”

Wspominał również manifestację pierwszomajową członek kierownictwa ŁOKR PPS: „Kiedy pochód został sformowany, wówczas dopiero szeregi manifestantów otrzymują ol-

brzymie transparenty, portrety wodzów robotniczych (...). Z dala widoczne są hasła: „Niech żyje bohaterki sojuszu robotników i chłopów”, „Niech żyje front ludowy”, „Faszyzm jest wrogiem niepodległości Polski” (...). Obrzymie portrety: Karola Marksa i Engelsa, Wł. Lenina i Matteottiego i innych wyrastają ponad tłumy manifestantów (...). Szły zwarte szeregi robotników łódzkich, już nie czworakami, ale całą szerokością ulic. Bramy domów z rozkazu „władz bezpieczeństwa” pozamykane, chodniki oczyszczone z publiczności (...), szeregi policji przygotowane na „ostro”, ściągnięte posiłki policyjne z całego okręgu, nawet szkoły policyjne z woj. warszawskiego (...), na ulicach samochody pancerne. Specjalną nienawiść policja skierowała do tej części pochodu, w której niesiono portret Lenina. (...) Przed siedzibą „Orędownika” dochodzi do krwawego starcia z bojówkami faszystowskimi. Padają z bramy domu pod nr 91 na ul. Piotrkowskiej strzały. Na asfalcie wylała krew naszych rannych towarzyszy (...). Dochodzi do nowych starć na ul. Piotrkowskiej. Teraz z kolei masy robotnicze przechodzą do czynu (...). W ciągu paru minut zostaje zdemolowany lokal gadzinówki hitlerowskiej „Freie Presse”.

Nastroje jednolitofrontowe w Łodzi dobitnie oddaje także inny fragment wspomnienia: „Pochód — to był jeden wielki, nieustający śpiew i krzyk (...). A oni szli. Szli wbrew okólnikom i zakazom — socjaliści i komuniści, niesiono sztandary z trzema strzałami i z sierpem i młotem, potężnie wznosiły się pięści, bojowo, jak grzmot toczyły się okrzyki, (...) w oknach radosne twarze i wzniesione z pozdrowieniem robotniczym zacisnięte pięścią ręce (...).”

Obiektem szczególnych ataków policji byli — jak to wskazywały wspomnienia — niosący portrety przywódców międzynarodowego ruchu robotniczego. Młodego robotnika, niosącego portret Marksa, biło trzech policjantów.

Rozmach pochodu pierwszomajowego nie uszedł uwadze wojewodzie łódzkiemu. Przy silnej tendencji do pomniejszania obrazu wystąpień majowych, zmuszony był jednak przyznać, co następuje: „Radykalizujące się już od dłuższego czasu doly partyjne wyszły liczenie na ulice w dniu 1 maja razem z komunistami i socjalistycznymi ugrupowaniami mniejszościowymi. Pochód w Łodzi liczył 15—20 000 uczestników. Wśród transparentów i sztandarów niesiono portrety przywódców komunizmu, a z szeregów padały też okrzyki wrogości Państwu Polskiemu (...).

Ilość manifestantów szacować należy na 80—100 tys. W Warszawie demonstrowało 60 tys. osób.

Na zakończenie wypadu przypomnieć o tym, że Łódź w 1936 roku nie tylko zastąpiła w Polsce najliczniejszą manifestacją pierwszomajową, ale także innymi wystąpieniami jednolitofrontowymi, nie mającymi znów precedensu w innych miastach. Chodzi mianowicie o wrześniowe wybory jednolitofrontowe do Rady Miejskiej. Nie będzie przesadą twierdzenie, iż do zwycięstwa wyborczego przyczyniła się w znacznej mierze jednolitofrontowa manifestacja pierwszomajowa.

MARIAN STROBIŃ



Foto: Archiwum

POLSKA i jej SĄSIEDZI

Jest w dorobku polskiej historiografii dzieło, napisane przez człowieka, który historią parzył się raczej okazjonalnie, bowiem główną jego pasją była literatura i publicystyka, będąca od dawna klasyczną pracą historyczną. Jest ona dziś już znacznie przestarzała, a inaczej być nie może, skoro od jej pierwszego wydania upłynęło ponad pół wieku, od ostatniego zaś lat więcej jak czterdzieści. Jest wreszcie dziełem na wskroś tendencyjnym, bowiem pisanym na polityczne zamówienie i holdującym, w sposób wyrazisty, określone politycznemu programowi, który dawno stracił cechę aktualności. Ale wciąż, i myślę że będzie tak jeszcze przez jakiś czas, jest dziełem niezastąpionym dla każdego, kto pragnie się chociaż trochę rozeznać w skomplikowanych zawiłościach drogi polskiej myśli politycznej w okresie porobiorczych. Mowa tu rzecz jasna o Wilhelmie Feldmanie „Dziejach polskiej myśli politycznej”, jedynym wciąż u nas całościowej historii naszego politycznego myślenia, doprowadzonej do I Wojny Światowej.

Nowe tworzy się bowiem w przewartościowym starożytności. Myślenie polityczne zaś nie wypływa prociutko, jak sądzi naiwni, z aktualnego układu stosunków gospodarczych i posiada swój własny rytm czasu. A jest to czas — jakby powiedział Fernand Braudel, który ukuł ten termin w historiografii — długiego trwania. Zbitki pojęciowe, ukształtowane niegdys, funkcjonują niejednokrotnie bardzo długo i poza epoką, w której powstały; odzwierają się czy to w postaci resentimentów, czy tylko zniekształconych odbić nawet tam, gdzie na pierwszy rzut oka trudno by było się tego spodziewać. O tym dobrze wie każdy historyk, zajmujący się problematyką świadomości społecznej.

Henryk Zieliński w „Słowie wstępny” do wydawnictwa „Polska i jej sąsiedzi”, stanowiącego pierwszy tom serii „Polska myśli polityczna XIX i XX wieku” (Ossolineum 1975) ogłaszanej pod auspicjami Wydziału I Nauk Społecznych PAN słusznie podkreśla: „Myśl polityczna stanowi jeden z najczulszych sejsmografów, rejestrujących procesy ewolucji i przemian w życiu narodu. Jednocześnie jest fenomenem, który w sposób szczególnie wyrazisty odzwierciedla trwanie i ciągłość jego historycznej indywidualności w gronie innych narodów. Z tych względów poznanie dzieł polskiej myśli politycznej, zwłaszcza XIX i XX w., wydaje się być rzeczą ze wszech miar godną wysiłku badawczego nie tylko z uwagi na korzyści naukowe, ale także dlatego, iż jest to niezbędna przesłanka lepszemu rozumieniu teraźniejszości”. Historyk stwierdza, że dziedzina ta należy do szczególnie zaniedbanych w naszym powojennym dziejopisarstwie, podaje do publicznej wiadomości założenia, przyjęte w serii studiów, mających na celu naprawienie tego niedostatku.

Trwa właśnie w środowiskach historyków dyskusja nad temem, ogłoszonym pod redakcją H. Zielińskiego. O ile W. Feldman próbował, z niezłym zresztą skutkiem, zorganizować całokształt dzieł polskiej myśli politycznej wedle jej poszczególnych nurtów, orientacji ideowo-politycznych, H. Zieliński i współpracujący z nim uczeni starają się to uczynić inaczej. Zwrócili oni uwagę nie tyle ku nurtom, ale ku problemom myśli politycznej, występującym we wszystkich jej kierunkach, proponując na razie w omawianym tomie ogarnięcie kapitalnego zagadnienia stosunku polskiej myśli politycznej do naszych sąsiadów: Rosjan, Niemców, Czechów i Słowaków i oraz Litwinów. O ile niegdys W. Feldman rozpatrywał prezentowane przez siebie kierunki razem z ich dawniejszymi antecedenjami, ukazywał ciągłość spojrzenia, trwającą nieraz przez kilka pokoleń, autorzy publikujący swe prace w tomie redagowanym przez H. Zielińskiego, w swoich problemowych ujęciach stosunkowo ściśle trzymają się założonych chronologicznych ram. Aczkolwiek i w pracy o Rosji (A. Juzwenko), i o Niemcach (W. Wrzesiński), w tytule jako data początkowa pojawia się rok 1864, przecież z ich lektury wynika niedwuznacznie, że autorem znacznie bliższy jest obszar XX stulecia, niż czasy dawniejsze. Czy to nie zbyt krótki oddech? Można się co do tego spierać.

Można również dyskutować z niektórymi poglądami, sformułowanymi przez H. Zielińskiego w otwierającym tom artykule „O potrzebie i trudnościach badania dzieł polskiej myśli politycznej”, nie oczywiła w tym sensie, by kwestionować czy to ową ewidentną potrzebę, czy zrozumiałe trudności, ale zastanawiać się nad zakresem kręgu problematyki: szerokim, to się chwali, ale czy realnym do wnikliwego zbadania?

Można wreszcie — i trzeba — zareagować na drobniejsze potknięcia, nie tylko z winy korekty (jak gdyż zamiast o J. Moraczewskim mowa o... Marczewskim), lecz pewnie i kogo innego; wspomniany w studium o Litwie wybitny historyk warszawski Kochanowski miał na imię Jan Karol, nie Jan Kazimierz; publikacja B. Limanowskiego o historii Litwy powstała z inicjatywy H. Gierszyńskiego, więc należałoby omawiać łącznie obu tych autorów... i tak dalej i dalej.

Ale nie wchodźmy w szczegóły. Godne uwagi i życzliwości jest to, że wreszcie ktoś pokusił się o podjęcie tej problematyki. Seria jest na początku drogi: nie przesadzajmy w krytyce, aby nie zniechęcać autorów do dalszego wysiłku, w przekonaniu, że nie zaprzestawali jeszcze wszystkiego, co mają do powiedzenia. I czekajmy na dalsze tomy wydawnictwa, które z taką odwagą podjął Henryk Zieliński.

LEKTOR

Ranek był zimnawy i czysty. Słońce wstało spoza wzgórz Zarzeczca, pączki na topolach wzdłuż głównej ulicy zaczynały się nieśmiało rozwijać. Tu i ówdzie gromady co pilniejszych dewotek śpieszyły na wczesną mszę. Zwyczajna, senna niedziela.

Oczywista, nikogo nie spotkałem. Skręciłem z głównej ulicy na prawo. W wąskiej szczelnie między dwiema olbrzymimi kamienicami rozległ się czyjś wrzask. Policjant wymachiwał ręką pod nosem stróżowi, który stał przy ścianie i zawzięcie skrobał tynk. Odruchowo przystanąłem, ale policjant zaraz się na mnie rzucił:

— Proszę się rozejść, nie robić zbiegowiska!

Poszedłem dalej, zdążywszy jeszcze spod śpiesznie migających rąk stróża dostrzec strzępek czerwonego napisu: „niech żyje!” Na rogu jakiś chłopiec, widząc mój uśmiech, skomentował dziwną logikę policjanta:

— Pierwszy Maj, to gliny nerwują się.

Mrugnął domyślnie okiem i poszedł. Główna ulica pozostała w tyle, parę nieruchomych przecznic, cisza i trajkotanie służących w bramach, potem kręta, niezabudowana droga, wspinająca się na wzgórze, znowu domy, duże i porządne, tu jednak czuć już jakieś podniecenie. Nowoczesna gładka bryła domu akademickiego. Ta twierdza endecji wyglądała dzisiaj jakoś nieswojo, studenci wchodzili i wychodzili zaferowani, tylko jeden, wysoki, szczupły, przystojny (nazywał się Pacanowski, pamiętam go jeszcze z moich czasów, biedaczysko, nie mógł jakoś dokończyć swego prawa), spokojnym, rzeczowym głosem wydawał dyspozycję:

— Do głównego gmachu zabierzecie paczkę Szwarca. Zbiórka o szóstej. Bez nawalane. Teraz obstawisz Grodzieńską u wylotu. Hasło masz? No, więc uważaj.

Zobaczył mnie, urwał i bardzo uprzejmie:

— Na pochód śpieszycie? No to się spotkamy, czolem!

Poczułem nerwowe podniecenie. Dzień ten nie skończy się spokojnie. Czeka nas zajęcia i bójki. Ci endecy na pewno coś przygotowali. Będą mieli dziś takie poparcie policji jak nigdy dotąd.

Szedłem dalej, odruchowo przyspieszając kroku. To przypadkowe spotkanie przeniosło mnie na chwilę z powrotem w lata uniwersyteckie, gdy co krok się czuło endecją wszechwładzę i każde poczynanie groziło ich awanturniczą interwencją. Wtem spoza zakrętu buchnął śpiew. Stałem:

Nadejdzie jednak dzień zapłaty, Sędziami wówczas będziem my!

Szła kolumna demonstrantów. Regularne czwórki, młode, zacięte twarze, czerwone sztandary. Niesiony na przedzie transparent wzywał do solidarności wszystkich robotników. Byli to hutnicy, najbardziej bojowy oddział miejscowych Zetsetów. Szli

śpiesznie w dół, w stronę śródmieścia. Dziesięcioletni chłopcy pętali się pod nogami pochodu z przodu i z boków. Chodnikami w tym samym kierunku szły dwa patrole policyjne — po trzech w każdym, z bagnietami na ostro — i spływało kilku cywilów o niewyraźnych oczach.

Niesie on zemsty grom, ludu gniew...

Krótkie, jak uderzenia werbla wiersze pieśni wyskakiwały z pochodu, rzucane kilku młodymi głosami. Śpiew tryskał na wszystkie strony, jeszcze niezgrany, załamania rytmiczne wznosiły się, aż buchnęło niespodziewanie zgodnie i mocno:

— Niech pani popatrzy, toż to Ambrożkiewiczówna, daje słowo, ta tam, za tym transparentem. Ja to powiem panu dyrektorowi, słowo daję!

Inna z niepohamowaną emfazą:

— Wstyd! Polacy, inteligenci — z Żydami, z komunistami!

Odprowadza nas gniewnym wzrokiem. Roman jej coś przygaduje. W ogóle rozruszał się na tym pochodzie. Spod kościoła nagle krzyk:

— Precz z żydokomuną!

Po szeregach w obu kierunkach szybkie szepty:

wraca się do nas, uśmiech, błysk białych zębów:

— Precz z faszyzmem!

Robotnikom z tartaku bardzo ten okrzyk się podobał. Ich pięćset głosów uderza jak porywisty wiatr. Ten i ów z gapiów odruchowo cofa się w tył.

Ale po chwili obezwładnionej ciszy — gdzieś ze środka — kilkanaście gwizdów i odpowiedź:

— Precz z żydokomuną!

— Precz z żydokomuną!

Ach, tu przecież ma być „paczka” Szwarca. Krzyk ich powtarza się, co-

— Przechodź, przechodź!

Tłum zaczyna się chwiać, z tyłu dobiegają uspokajające okrzyki — „Dalej! Iść tam na przedzie!” Ruszamy miotani sprzecznymi uczuciami, odwracając z niepokojem twarze w kierunku Grodzieńskiej. Uszliśmy już może z pół kilometra — jak okiem sięgnąć tłum demonstrantów i nigdzie ani śladu bójki. Może fałszywy alarm?

Dopiero później, po godzinie, dowiadujemy się o tym zajściu. Blisko końca naszego pochodu szedł oddział „czere-wonych harcerzy”. Endecy, rozwścieczeni półgodziną walką na hasła, widząc przed sobą młodzież i koniec pochodu, pozwolili wrzescie sobie na „czyn”, rzucili się z pałkami na chłopców. Zanim przybiegło na pomoc więcej naszych, zbili do krwi kilku harcerzy i natychmiast zwiaili, wsiadli w obojętny tłum gapiów. Policja, mimo że była przy tym, zdobyła się na interwencję nie wcześniej, aż na polu walki zostali nasi milicjanci. Kilku z nich wzięto za „zakłócenie spokoju publicznego”. Zajście trwało parę minut i zanim echo doszło do nas, było już w gruncie rzeczy po wszystkim.

Idziemy, jeszcze o tym nie wiedząc, ale domyślając się tej zwykłej, niewyszukanej mechaniki „sprawiedliwości”. Jesteśmy podnieceni i źli. Chodniki są tu prawie puste, jest to nie zabudowane wzgórze. Kilku cywilów idzie po chodniku. Z tyłu patrol policyjny.

Brażowolicy robotnik chce jakoś rozruszać ciężki nastrój pochodu.

— Precz z faszyzmem!

Ale nim podchwyci to reszta — gwizdki, z chodnika skacze dwóch cywilów, robotnika chwytają za kark i wpadają z powrotem na chodnik ciągnąc go w głąb jakiegoś zaułka. Chwila ostupienia. Cała kolumna z tartaku zwiera się nagle w kłęb, kilku ludzi rzuca się za tamtymi, reszta rusza także, choć wolniej. Przed pości-giem wyrusza patrol policyjny.

— Stać, stać, psiakrew!

Mają w ręku karabiny, machają bagnietami przed oczyma rozkrzyczanych, gestykulujących ludzi. Szpicle ciągną tamtego, niespokojnie odwracając głowy. Kordon policyjny zaczyna się chwiać. Nadbiegają posiłki. Wyrasta nagle jakaś znajoma twarz z rudymi wąsikami. Ochrypli bas zaczyna warczeć:

— Porządek, psiakrew, porządek, co wy, robotarze czy kto, do jasnej cholery? Do pochodu!

Koło niego robi się luźniej. Podnosi głos:

— Robotnicy, zachowajcie proletariacki porządek! Do pochodu! Nie dajcie się sprowokować nieodpowiedzialnym elementom! Znacnie mnie wszyście! Wiecie, że nie dam was skrzywdzić! No, do cholery, spokój! Przy ZZK będzie wiec, nie mamy czasu! Ruszać tam!...

(Fragment powieści pt. „Rzeczywistość”)

JERZY PUTRAMENT

POCHÓD

A kolor jego jest czerwony...

Poczułem dziwne łaskotanie w gardle i na plecach. Zaciśnąłem zęby. Chciało się śpiewać jeszcze i jeszcze tę wspaniałą, bojową pieśń, która porywa myśl, zwiera dłoń w pięści, zagrzewa do walki.

Dochodzimy do dzielnicy bogatych sklepów i kawiarni. Tłum na chodniku coraz gęstszy, ale spojrzenia jego są skupione i mroczne. Nasze okrzyki odbijają się tu o posępne milczenie.

Uniwersytet. Olbrzymia dzwonnica modnego kościoła. Wczesna msza już się skończyła i placyk zapchany jest pobożnymi. Widzę kilka twarzy, tych z domu akademickiego. Zwarte oddziały policji.

Przesuwamy się przez to nieruchome jezioro ludzkie przedzieleni rzadkim szpalerem milicji. Jakies panusie wpatrują się w nas z oburzeniem i wzgardą. Któraś nagle wykrzykuje zdumiona:

— Nie odpowiadać na prowokację!

— Robotnicy budowlani znajdują jednak odpowiedź:

— Niech żyje Polska Ludowa!

Podchwytujemy to hasło z całych sił. Publiczność na chodnikach milczy. Pod kościołem gwizdy. Wkroczyliśmy na teren nieprzyjacielski.

Tempo pochodu staje się tu szybsze. Policja obramowała szpalerami wyloty przecznic. Wychodzimy na plac koło województwa, mijamy olbrzymią niezgrabną katedrę, wpływamy na główną ulicę.

Chodniki tu są szersze, ale zapchane aż po rynsztoki obojętnym i wrogim tłumem. Słyszę jakieś docinki hamowane szeregami czerwonych opasek milicyjnych. Wylot ulicy Grodzieńskiej. Morze głów. Jakis młody robotnik o brązowej ogorzałej twarzy od-

raz bardziej natarczywy. Widzę ich twarze rozdarte wrzaskiem. Stoją na stopniach kina „Palace”. Któryś podnosi rękę i krzyczy znowu:

— Niech żyje Polska Narodowa!

Tłum ciągle milczy, przechodzimy dalej, nauczyciele jakoś spokojnieli, pochyliłi głowy jakby w obawie, by ich nie poznano. Ten sam opalony robotnik wymachuje pięścią w kierunku „Palace” i krzyczy:

— Precz z polskim faszyzmem. Precz z endecją!

Odchodzimy. Z Grodzieńskiej dola-tuje wrzask tamtych. Za nami idą dalsze kolumny i obrzucają się z endekami gwałtownym krzykiem. Dochodzimy do dużego placu skracamy w lewo pod górę. Z tyłu dobiega jakieś podniecenie, ktoś się odwraca, cały szereg przystaje, przebiegają krzyki — biją, biją! Ten i ów z milicjantów opuszcza swoje miejsce i biegnie z powrotem. Pochód się zatrzymuje. Wówczas rzuca się policja.

JERZY WALEŃCZYK

1 MAJA 1976

(FRAGMENT POEMATU)

Niech idą od Widzewa od Uzdrawisk miejskich
Od Wimy od Legera i od Nowogrodzkiej,
Niech idą widzewiacy, idą czasu cienie,
Niech idą od parafii św. Kazimierza,
I Maj i Maj, kto chce niech nie dowierza,
Kto chce niech wierzy, że jeszcze rewolucji
że od Niclarnianej tu idą pociągi,
że dudnią pociągów podkłady i drągi
semafory podnoszą uzdrowione ramie,
jak Rzym podnosi Cezarów cienie

Niech krzykną niech żyje Postęp. Osiągnięcia
Plany ponad Normę, bo praca na miarę,
Niech idą szeregiem, jada, niech powiewa
transparent i głośnik niech Maj im zaśpiewa
zielenią i przestrzenia ulic łódzkich,

Niech idą łodzianie a Piotrkowska szumi,
Od Adasia z palni garnitur wyprany,
niech na ciężarówkach im perskie dywany
umiękną dole, wskaźniki produkcji,

I rosną tulipany podparte Majem słońca,
i rosną astry goździki, ludzka dolo kpiąca,
wznoszą głowy wysoko czerwone róże i bzy,
cichutko miledza piwonie jakby ich nie było,
słyszysz, to wiatr wieje, może chodziło o miłość,
Może chodziło o życie nierwszomajowy kwiecie,
która godzina która to przecież mija życie,
Niechaj idą z Budownictwa, spokojni uśmiechnięci,
wyżej piętra, balkony, wyżej dachy pamięci,
a kto nie ma dachu, niech sobie strzeżę ze słomy,
z bocianim gniazdem i soplem, i mchem i żabą wydziwaczy,
wymarzy, wyobcuje, wspomni i westchnie,
niech idą z Budownictwa jedząc wczesne czereśnie.

Niech kto stracił na nowo odzyska nadzieję,
niech idą świnki wietnamskie i białe niedźwiedzie
niech nam się Maj szalony, Maj piękny powiedzie,
niech papugi skrzecza niech Lwy grzmia ludzkim głosem,
Niech kwitną kwiaty na Wschodniej, niech pelargonie,
Nasz czas jest krótki, nasz czas szybko przemija,
Nasz czas jest zegarmistrzowski, raz tylko się zieleni.

W KINIE, W TELEWIZJI

Pisanie na bieżąco o filmie w telewizji wydaje się zajęciem pożytecznym. Jest to potężny obszar kultury filmowej, który wymyka się z rąk krytyki — nazwijmy ją — kinowej. Sprawa to dziwna, bowiem filmowi recenzenci są szczególnie uczuleni na rezonans opinii publicznej, a przecież jednorazowa projekcja filmu w telewizji zgarnia znacznie więcej widzów niż największy przebój kinowy. Z drugiej strony — powie ktoś — trudno się temu dziwić, jeśli przeważająca większość filmowej produkcji na małym ekranie, to celuloidowa mierzwa i trudno tu na co dzień znaleźć coś wartościowego. Zgoda, ale z tej sytuacji można wyciągnąć wniosek przeciwny.

Oceniając dość jednoznacznie poziom telewizyjnej fabuły nie zapominam przecież o prawdziwych perłach, które tam się zjawiają. Trudno być kierownikiem tego największego kina w Polsce i trudno ustalać jego repertuar, parmiując o złożonych potrzebach wielomilionowej widowni. Nawet jeśli dysponuje się kilkuset tytułami rocznie. Od kilku lat można zaobserwować w telewizji pewną politykę repertuarową, która zmierza do sensownego uregulowania tej filmowej rzeki, która dosłownie leje się przez telewizyjny ekran. Często jednak przy okazji lansowania utworów wartościowych, ba, arcydzieł kina wyłazi na wierzch estetyczna prawda, że kino i telewizja to nie to samo. Oczywiście, że to banal, tyle, że banal, przy okazji którego przywołuje się zazwyczaj przebrzmiałą już argumentację. Nie wydaje się bowiem różnicą decydującą skalą filmowego i telewizyjnego obrazu, które jakoby decydują o składnikach tzw. specyfiki telewizyjnej tworzących — mówiąc najogólniej — kameralność telewidowska. Filmy kameralne były, są i z pewnością będą wyświetlane z wielkim powodzeniem w kinach.

Istotniejszy wydaje się tutaj sam sposób odbioru filmu i telewizji. Film jest spektaklem osobnym, którego obejrzenie wymaga pewnego wyboru, a zatem pewnej decyzji kulturalnej. Takiego aktu nie wymaga IV „gadająca tapeta”, która działa na prawach inercji w naszym domu, jest akompaniamentem potocznego życia. Ale to najistotniejsze — żywiłem telewizji jest dokumentalizm. Jest to medium szczególnie podatne na wszelkie formy autentyczności, czyli rzeczywistości surowej, prawdy, że nacechowanej określoną intencją, ale jednak operującej prawdziwymi ludźmi i zdarzeniami. Dominujący w telewizji żywioł filmowego autentyczności, tego — jak to określił Siegfried Kracauer — „strumienia życia” musi rzucać swoisty cień na to, co kreacyjne, sztuczne i artystycznie spreparowane. W programie telewizyjnym, który płynie migotliwym ciurkiem zawsze mnie interesowały owe niepowtarzalne gdzie indziej miejsca styku artystycznej fikcji z faktami i postawy odbiorcze z tym fenomenem związane. Telewizyjny koktajl składa się na jakąś trzecią rzeczywistość — ni to prawdziwa, ni artystyczna. Telewizyjną właśnie! Jest to problem, bowiem estetyczno-poznawcza perspektywa, jaką stwarza pojmowana globalnie telewizja ustawia i zmienia status wartościowych, ściśle artystycznych filmów, które na małym ekranie tracą swoją jakość i przestają być tym, czym są na ekranie dużym.

Przyjrzyjmy się pod tym kątem widzenia dwóm tytułom „Filmoteki arcydzieł” z ostatnich tygodni. Oto „Iwan Groźny” Sergiusza Eisensteina i „Wakacje z Moniką” Ingmara Bergmana. Filmy pochodzą mniej więcej z tego samego okresu — pierwszy był realizowany w drugiej połowie lat czterdziestych, drugi zaś wszedł na ekrany w 1952 r. „Iwan Groźny” ostatnie dzieło genialnego nowatora kina jest filmem o niezwykle skomplikowanej strukturze artystycznej. Jest to utwór skomponowany na wzór symfonii, w którym różne elementy filmowej formy tworzą wyrafinowane konfiguracje. O szczególnym piętyście artystycznym reżysera świadczą jego archiwalne rysunki, na których artysta szkicował nieomal każdy kadr tego filmu. Walory tego dzieła wymagającego starannej lektury, w telewizji przepadają ze szczerem. W telewizyjnym kontekście jego ranga artystyczna traci wiele najistotniejszych wartości. Telewizyjna projekcja „Iwana Groźnego” nie jest „Iwanem Groźnym” Sergiusza Eisensteina, ale zaledwie informacja o tym arcydziele, jego bardzo niedoskonała reprodukcja. Eisenstein był prekursorem tej formacji filmowej, która dopiero nadchodzi, a w której film jest dziełem sztuki o złożonych środkach wyrazu.

„Iwan Groźny” jest prócz tego filmowa tragedia o szekspirowskim wymiarze, oddziałująca na widza na zasadzie potężnej hipnozy ze względu na swój wyjątkowo mroczny esencjonalny klimat. Jest filmowym snem o zamierzalnej historii wpływającym na podświadomość. Ostatnio we Francji ukazała się monografia poświęcona reżyserowi interpretująca jego pomysły inżynierskie według psychoanalizy kłucza. Nie trzeba chyba dodawać, że w warunkach telewizyjnego odbioru ten psychoanalizy trans jest zupełnie niedotykalny.

Inaczej na małym ekranie zachowywał się film Bergmana. Jest to jeden z nielicznych, bo wczesnych filmów reżysera w pełni realizacyjnych. Historia Moniki i Harry'ego mocno osadzona w realiach dobrze przyległa do faktury telewizyjnego obrazu. TV zapowiada dalszy ciąg retrospektywy Bergmana i choć jest to inicjatywa ze wszech miar pożyteczna, to jednak „Siódma pieczęć” wcale obejrzeć w kinie.

Film i telewizja — dwie pokrewne dziedziny wzajemnie wpływające na siebie, a jednak istniejące — przeszerpnie wyraźna bariera jakby — immunologiczna, która powoduje, że przeszerpnie nie są bezkarne, a to pozwala dojść — określoną drogą — do tego, czym jest w swej istocie telewizja.

JERZY WAWRZAK

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

POCIĄGI PRZYJAŹNI

nionego autora, któremu swego czasu zgotowali miłą niespodzianką drukując powieść. Niebawem taka sama spotka Ryszarda Binkowskiego, którego „Pójdź nad sadem” ma aktualnie na warsztacie Niewiakin.

I tych akcentów łódzkich do końca pobytu przybywa. Konsulem generalnym PRL w Leningradzie jest tow. Jerzy Chabelski, łódzianin, działacz młodzieżowy, a później przez lata partyjny, ostatnio sekretarz Komitetu Łódzkiego partii, mój partyjny szef, kiedy obejmowałem kierownictwo „Odgłosów”. Okazja więc do długiej rozmowy, w której towarzyszy nam Henryk Świecicki, konsul d/s kultury „praktykujący” w cywilu jako artysta malarz. Jego wystawa w Domu Pisarzy zdobyła bardzo dobre oceny, a wstęp do katalogu napisał akademik Piotrowski, dyrektor Ermitażu. Rozmawiamy o pracy naszej placówki, pracy nietatwej, ale przynoszącej satysfakcję. Już tak prywatnie Niewiakin, zaprzyjaźniony z tutejszą kadrą mówi mi, że Chabelski świetnie się tu sprawdza, jest popularny i nie brakuje mu dobrych pomysłów. (Tak samo np. mówili mi Rosjanie o innym łódzianinie, radcy ambasady PRL w Moskwie, Jerzym Piątkowskim).

Długo w noc ta rozmowa rodaków, już w mieszkaniu konsula, jako że szef placówki pracuje tu i mieszka. Nie żegnamy się na dobre, bo w planie konsula jeszcze spotkanie oficjalne z całą grupą na wieczore przyjaźni w Pałacu Przyjaźni, w przeddzień wyjazdu. Tutaj gospodarzem jest gen. dywizji Mieczysław Melenas, przewodniczący Tow. Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Służył w Wojsku Polskim, był pierwszym dowódcą garnizonu w... Łodzi, co z dumą podkreśla, później komendantem łódzkiej szkoły oficerskiej i Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie. Mówi pięknie o historii i dniu dzisiejszym, co nas łączyło i łączy. Wzrusza słuchaczy i sam jest wzruszony. Zapamiętałem zdanie: „my się starzamy, ale nasza przyjaźń jest wiecznie młoda”. Czyż nie poetycka dusza, ten generał Melenas?

Carskie Sioło, Twierdza Petropawłowska, Ermitaż, Smolny, Sobór Izacka, place, budowle znane i jeszcze bardziej sławne, zwodzony most na Newie, Razliw, gdzie ukrywał się Lenin. Ermitaż — 322 sale, około 3 milionów eksponatów, trasa zwiedzania — 25 km, Rafael, Leonardo da Vinci, Rembrandt, francuscy impresjoniści... Jeszcze Muzeum Rosyjskie, ikony, płótna Riepina... Nie warto o tym wszystkim wspominać, bo coś można mądrego powiedzieć na ten temat. Określić zachwyt, to go zarazem zbanalizować. Przekaz słowny w tej materii zawodzi. Pozostają kolorowe filmy, albumy i... podróz do Leningradu, jak podróz posłubna z wielką sztuką.

7. Powrót do statystyki, już na miejscu. Sekretarz Zarządu Łódzkiego TPP-R, Bolesław Miguła, udziela mi wyczerpujących informacji. Zapelnilem pół notesu, ale to może na inną okazję. Dzisiaj trzymam się „pociągowego” tematu... Ale już krótko!

W 1976 roku z Polski wyjedzie do ZSRR 56 pociągów, w tym 5 z Łodzi. Ogromne zainteresowanie Krajem Rad spowodowało od 1974 roku tak masowny ruch na wschód, na rozmaitych trasach. Chętnych i tak jest więcej niż istniejące możliwości bazowe, tak że wyjazd jest formą wyróżnienia za dobrą robotę, postawę społeczną etc. Kto jeździ, konkretnie? 80 proc. to robotnicy, ludzie z produkcji. A także kombatanzi (z gen. L. Dubickim przegadałem kilka wieczorów, czego efektem będzie cykl artykułów dla „Odgłosów”), lektorzy szkolenia partyjnego, działacze kultury, twórcy, dziennikarze. Ta forma poznania ZSRR nie jest jedyną. Organizowane są grupy „samolotowe”, po 30 osób (17 w ub. roku), rejsy „Mazowszem” i „Batorym” (już odbyły się w br. 2 rejsy po 1500 osób) do miast nadbałtyckich. Wyjazdy nie tylko do Moskwy, Leningradu, Kijowa, ale i rejsy po Morzu Czarnym, Dnieprze, Wołdze, ekskursje po Kaukazie... Także pomoc organizacyjna ZŁ TPP-R dla osób wyjeżdżających indywidualnie, chcących odwiedzić rodzinę lub przyjaciół, naukowców, ludzi kultury i sztuki.

„Jest to najlepsza forma propagowania sukcesów i osiągnięć Związku Radzieckiego, piękna tego kraju, problemów ludzi radzieckich, które są bliskie naszemu społeczeństwu” — mówi z przekonaniem Bolesław Miguła.

Potwierdzam to przekonanie nie tylko własnym odczuciem. Rozmawiałem z dziwiątkami osób, uczestnikami ostatniego „pociągu przyjaźni”. Nazwali to swoimi słowami, różne formułowali swe wrażenia, ale wymowa tych opinii była jednoznaczna. Idea „pociągów przyjaźni”, najrozmaitsze formy wymiany są działalnością, która dobrze służy pożytecznym celom. Pod każdym względem. Jest tych względów wiele, ale każdy tę ideę przyjaźni w pełni potwierdza.

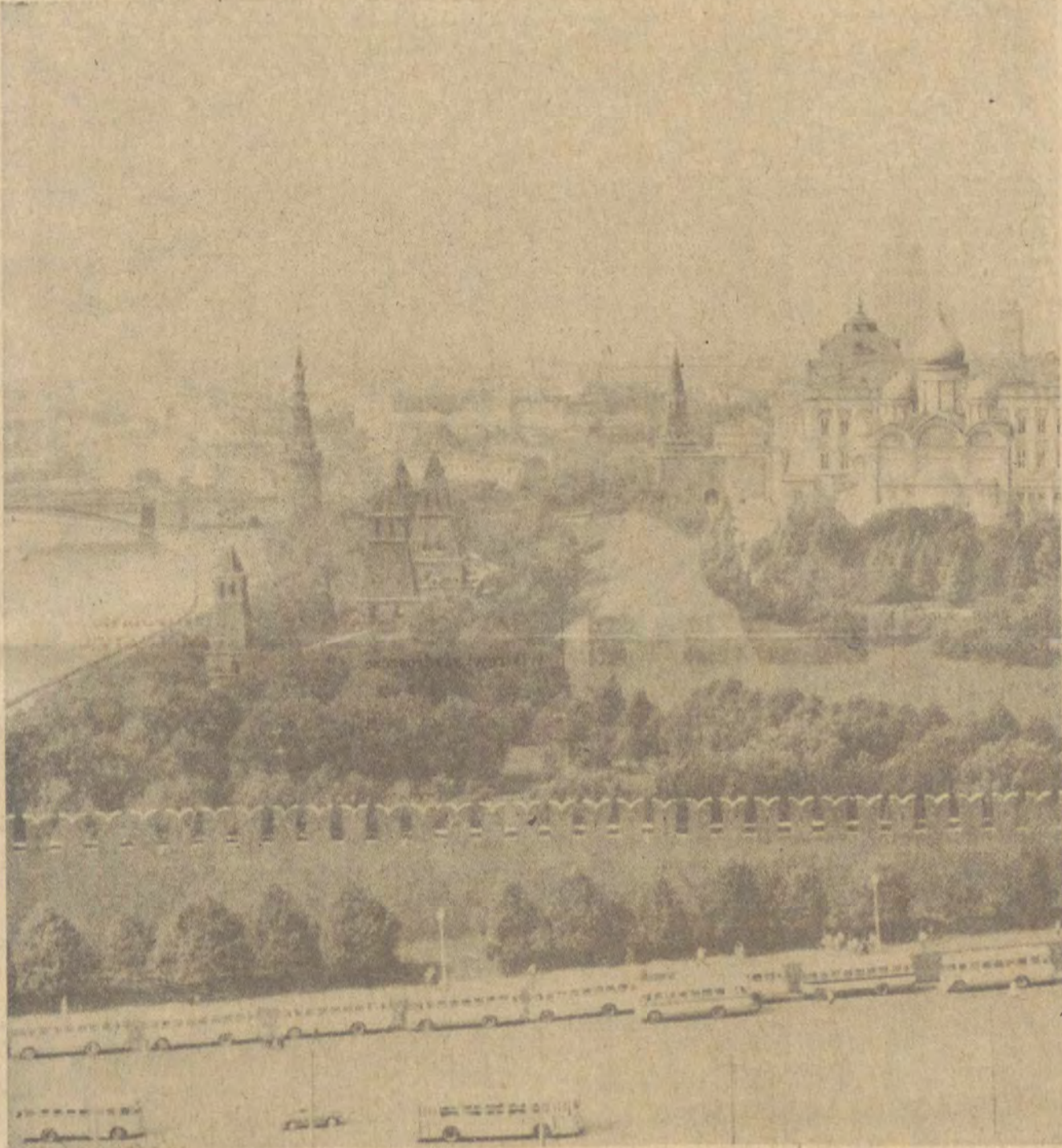


Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

nieznanych genialnych pańszczyźnianych muzyków.

I dalej ta pielgrzymka, punkt po punkcie. Dostyc tego, trzeba wyjść w Moskwę bez celu. Trzeba pomarznąć, odtać w pierwszej z brzegu kawiarni, przejechać się metrem, za parę kopiełek podskoczyć w drugą część miasta seledynową wołgą-taxi. Witryny sklepowe, zajrzeć do magazynów zaopatrzonych wiece obficie, nie załamujących się przed milionowym naporem moskwičan i przyjezdnych z całego Związku Radzieckiego i — bez przesady — całego świata. Bo w najbardziej nieoczekiwanych miejscach usłyszysz i zobaczysz cudzoziemców.

I następne porównania. Jak to było dwa lata temu, pięć lat... Gościnność zobowiązuje, ale nie zmusza do pochwał. A trzeba ją, jeśli nie wygłosić, bo lista długa, to przynajmniej zasygnalizować. Te najprostsze wrażenia z ulicy, magazynów, rozmów z przypadkowymi ludźmi. Jak nie wspomnieć o tym racjonalnym dostatkach, wrażeniu europejskiego szlif, jakie miasto w ostatnich latach otrzymało. Widać to po ubiorze mieszkańców, wystroju plastycznym ulic, architekturze nowych osiedli, w sposobie bycia ludzi w restauracjach, dworcach metra i teatrach. Choćby w 6-tysięcznej sali Pała-

cu Zjazdów na Kremlu, na przedstawieniu „Rigoletta”, w antraktach tego widowiska przy bufetach gigantycznego foyer. Tak jest w Moskwie, i w kilka dni później w bajecznym Leningradzie. Jak już tego Leningradu nie ohrzczo: i Wenecja Północy, i Paryż Północy i jeszcze jakieś Amsterdamy. Leningrad jest oczywiście tym wszystkim, ale przede wszystkim Leningradem. Właściwie miastem, do którego na krótko nie powinno się przyjeżdżać. Bo wyjeżdżać trudno...

5. Telefon do Maji Koniewej. Córka marszałka Iwana Koniewa, człowieka który wyzwalał naszą ojczyznę, ocalił Kraków, Śląsk. Dobrze się zapisał w pamięci Polaków. Mają na swoim literackim poletku czyni podobnie, dzięki niej (czy za jej pośrednictwem) miliony czytelników w Kraju Rad zapoznają się z polską literaturą. To sprawa jej redaktorska funkcja w wydawnictwie „Progress”.

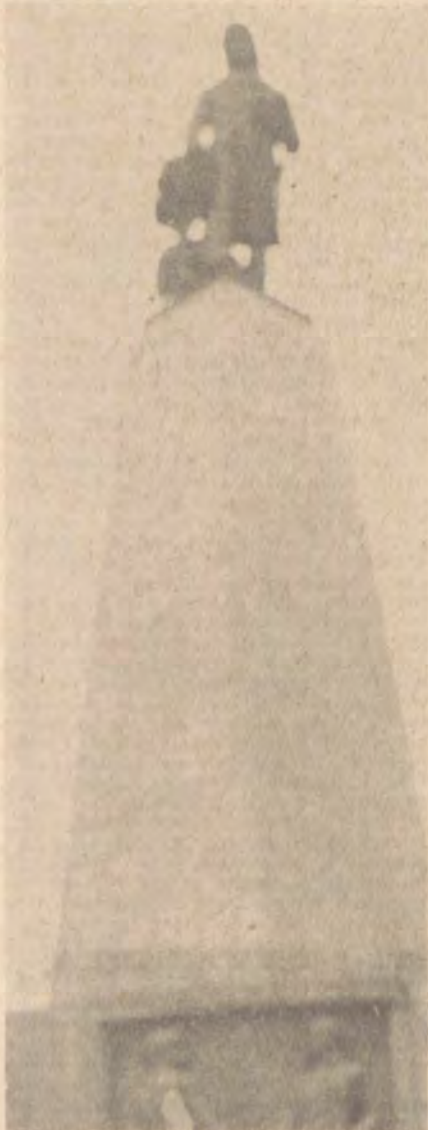
Odnajduję kamieniec przy ul. Czajkowskiego i za chwilę siadamy do stołu. Jest Wołodia Kisieliew wydzwoniony przez Maję. Od paru miesięcy biedzi się nad moją powieścią „Na spotkanie dnia”. Więc trzeba najpierw popracować, uzgodnić pewne pojęcia, które różnie funkcjonują w naszych krajach. A potem rozmowa o literaturze, sztuce, polityce, o naszych krajach i miastach. Wołodia walczył w Polsce, dosłużył się później rangi pułkownika. Od lat tłumaczy naszą lite-

raturę, ma na koncie długą listę przetłumaczonych książek, wśród nich Wiesława Jażdżyńskiego „W ostatniej godzinie”. Mają dla odmiany zna doskonale całą literaturę polską ostatnich lat, chyba by trudno znaleźć u nas krytyka będącego tak „na bieżąco”. Mówię jej o filmie, który kręci Jan Łomnicki: „Rozkaz: ocalić miasto”. To właśnie ten rozkaz wydał jej ojciec. A więc do zobaczenia na premierze!

6. Leningrad. Jadę tutaj, jakbym tu był nie pierwszy raz. Filmy, książki o tym mieście. W pamięci także reportaże Marka Wawrzkiwicza, niedawnego łódzianina. Wszyscy nam tu mówią: szkoda, że to nie czerwiec, że nie białe noce, że fontanny nie pienią się w Peterhoffie, że parkowe rzeźby schowane w drewnianych budkach, a Pole Marsowe nie tonie w zieleni. Ale są te inne cuda, którym pora roku nie odbiera urody. Nie ma tylko czasu, by zobaczyć wszystko, pokontemplować, zapisać przewodniczkę o szczegóły...

Jechałem do Leningradu jak do swoich. I nie zawiodłem się. W Związku Pisarzy spotkałem się z Zenią Niewiakinem, tłumaczem polskiej literatury, ale i działaczem Związku, przewodniczącym komisji zagranicznej dużego, bo ponad 400-osobowego środowiska leningradzkiego. Razem udajemy się do „Newy”, miesięcznika o 300-tysięcznym nakładzie! Przyjmują mnie w redakcji nie tylko jak zaprzyjaź-

POMNIKI



Nie miała Łódź w przeszłości szczęścia do wybitnych ludzi kultury — nie tu urodził się i tworzył Stanisław Moniuszko, którego skromny pomnik stanął przed wojną w łódzkim parku. Nie złączyły losy dzieł Tadeusza Kościuszki z Łodzią, choć głównym pomnikiem łódzkim związanym z dziesiątkami lat historii miasta jest jego pomnik, stojący po dziś dzień na Placu Wolności.

Niemal od samego początku przemysłowej historii miasto było widownią walk robotników. In jednak nie stawiało się pomników. Zdarzył się co prawda wyjątek, pozostałość wystawy rzeźniarskiej łódzkiej w Parku Staszica z 1912 roku: statua robotnika — symbol pracy. Nie mieli tu jednak swoich pomników przywódcy wystąpień robotniczych, choć działało tu ich wielu: Feliks Dzierżyński, Julian Marchlewski, Stanisław Pestkowski, Feliks Kon, Samuel Engel, Jan Pietrusiński. Nadszedł jednak czas, że oceniono należycie ich wkład w zwycięską walkę klasy robotniczej. Na ścianach wielu łódzkich domów, bardzo nieraz skromnych, pojawiły się tablice upamiętniające wydarzenia z dziejów ruchu robotniczego, wydarzenia, które nierzadko odbijały się echem po całej Polsce a nawet i Europie.

Na podatny też grunt padła w 1959 roku inicjatywa ówczesnego Przewodniczącego Rady Państwa, Aleksandra Zawadzkiego — inicjatywa postawienia w Łodzi pomnika Juliana Marchlewskiego. Zmaterializowała się ona w dziele łódzkich rzeźbiarzy: Elwiry i Jerzego Mazurczyków — w pomniku, który przed 12 laty stanął na Rynku Starego Miasta. Pomnik powstał staraniem Komitetu Budowy, któremu przewodniczył ówczesny naczelny dyrektor ZPB im. Juliana Marchlewskiego — Stefan Nowak. Odsłonięcie pomnika nastąpiło 30 kwietnia 1964 roku.

Julian Marchlewski działał wśród łódzkich włóknarzy, wspólnie z nimi pracował przy warsztacie, dzielił ich losy. Nieobce mu były ich kłopoty, praca i ciężkie życie. Dlatego szesnaste artysty umieścili na cokole pomnika jego postać wśród tych, których znał i rozumiał, których wódł do walki. Jak podają akta żandarmerii carskiej,

przybył do Łodzi z Warszawy 17 stycznia 1889 roku. Początkowo mieszkał na Bałutach, potem przy ul. Sienkiewicza, Kilińskiego i Solnej. Pracował najpierw w farbiarniach Walewskiego, Gepperta a od lipca 1889 roku do aresztowania — jako podmajstrzy w fabryce I.K. Poznańskiego przy ul. Ogrodowej, również w farbiarni, jako że zawód ten poznał w ciągu kilku lat pracy w zakładach włókienniczych zarówno w kraju jak i za granicą. Pod pseudonimem „Karski” nawiązał kontakty z najaktywniejszymi działaczami robotniczymi i grupami inteligencji prowadzącej działalność agitacyjną wśród robotników. Wraz z przybyłym z Warszawy słuszarzem Janem Ledem, utworzył w Łodzi filię Związku Robotników Polskich. Powstanie filii nastąpiło podczas zebrania w mieszkaniu kasjera kolejowego, Artura Glicyńskiego w istniejącym do dziś domu przy zbiegu ulic Kilińskiego i Narutowicza. Za sprawą Juliana Marchlewskiego zorganizowane zostały w wielu łódzkich zakładach Kasy Oporu, Kasy Wzajemnej Pomocy, Biblioteki Robotnicze itp.

Aktywna działalność Marchlewskiego zwróciła na niego uwagę policji carskiej, 25 października 1891 roku został aresztowany i osadzony w słynnym X Pawilonie Cytadeli warszawskiej. Uwolniono go dopiero po 13 miesiącach za kaucją 400 rubli, ale wydarzenia te położyły już kres jego działalności politycznej w Łodzi. Wydostawszy się z carskiego więzienia wyjechał rychło poza granice zaboru rosyjskiego i zatrzymał się w Szwajcarii.

Ziarno raucone przez Juliana Marchlewskiego i jego towarzyszy wydało jednak już wkrótce plon. 1 Maja 1892 roku był przełomowym momentem przede wszystkim w łódzkim, ale i w polskim ruchu robotniczym. Święto majowe w Łodzi zamieniło się w tygodniowy strajk polityczny 100 tysięcy robotników, tzw. bunt łódzki. Podczas tego tygodnia kilkudziesięciu robotników zostało zabitych, kilkuset dostało się do więzień. Wystąpienie proletariatu łódzkiego, wypadki 1 Maja 1892 roku udokumentowały fakt, że proletariat Łodzi a tym samym polski proletariat wystąpił na szeroką widownię polityczną.

Spółeczeństwo Łodzi nie zapomniało działalności Juliana Marchlewskiego, zawsze otaczało szacunkiem pamięć jego zasług, co znalazło wyraz m.in. w nazwaniu jego imieniem jednego z największych łódzkich zakładów przemysłu bawełnianego.

2.

Twórcami nie tylko pomnika Juliana Marchlewskiego, ale także popiersia Stanisława Moniuszki i Juliana Tuwima byli profesorowie PWSSP w Łodzi: Elwira i Jerzy Mazurczykowie. Byli wychowankami warszawskiej ASP. Już przed wojną święcili triumfy w Warszawie, tworząc kilka znakomitych rzeźb. Ostatnia, nie dokończona, została zniszczona podczas bombardowania Warszawy we wrześniu 1939 roku. W wojennej zawierusze zginęła ich najbliższa rodzina, przepaść cały warszawski dorobek. Oni sami okres okupacji przeżyli w niewielkim majątku Nakielnica pod Łodzią. Po wyzwoleniu osiedli w Łodzi i chociaż pierwszą rzeźbę wykonał dla Warszawy, potem byli już przede wszystkim rzeźbiarzami Łodzi, mimo iż pomniki ich projektu spotykamy też w Ciechocinku i Skierniewicach. Stawili do 15 konkursów, wygrali 12 z nich.

Elwira i Jerzy Mazurczykowie byli jednymi z założycieli Wydziału Rzeźby Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi i wykładowcami na tym wydziale przez całe 10 lat, aż do jego likwidacji. Pierwszą ich pracą dla Łodzi były płaskorzeźby pomnika wdzięczności na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Parku im. Poniatowskiego, potem był współudział w odtwarzaniu postaci Tadeusza Kościuszki na pomniku odbudowywanym według projektu Mieczysława Lubelskiego, popiersie Stanisława Moniuszki w Parku Kolejowym, popiersie Juliana Tuwima przed Pałacem Młodzieży im. Juliana Tuwima. I wreszcie pomnik Juliana Marchlewskiego, za który rzeźbiarze otrzymali nagrodę Ministra Kultury i wysokie odznaczenia państwowe.

Elwira Mazurczyk zmarła 27 listopada 1971 roku.

MIROSLAW WOJALSKI

Scenariusz: Luis Bunuel i Salvador Dali
Reżyseria: Luis Bunuel
Zdjęcia: Albert Dubreuil
Muzyka (z płyty): fragmenty „Tristana i Izoldy” Ryszarda Wagnera oraz tango argentyńskie
Wykonawcy: Pierre Batcheff, Simone Mareuil, Salvador Dali, Jaime Miravilles, Luis Bunuel
Produkcja: Luis Bunuel (Francja)
Premiera: 1928 r.
Długość: 62 m

„Pies andaluzyjski” Luisa Buneuła przedziwny do historii kinematografii jako sztandarowy utwór filmowego surrealizmu. Kierunek ten historycy filmu wyróżniają jako analogiczny do pewnych zjawisk przebiegających w literaturze i malarstwie, gdzie surrealizm objawił się nader licznie. W filmie było inaczej. Do tego gatunku zalicza się „Psa andaluzyjskiego” i „Złoty wiek” Luisa Buneuła, zrealizowane we współpracy z malarzem Salvadorem Dalim oraz filmy amerykańskiego fotografa Mana Raya: „Powrót do rozumu” (1923), „Emak Bakia” (1925), „Gwiazda morską” (1926) i „Tajemnica zamku Dé” (1928).

Nadrealizm był jedynym ruchem w dziedzinie XX-wiecznej awangardy, którego ambicje i cele wykraczały poza obszar sztuki, sięgając w sferę antropologii człowieka, projektując rewolucję społeczną poprzez generalną przebudowę ludzkiej świadomości. Jako spadkobierca i kontynuator idei anarchizmu nadawano surrealizm przeprowadził generalną negację cywilizacyjnych osiągnięć i doświadczeń ludzkości oraz proponował nowy, oparty na innych zasadach program przebudowy świata. Surrealiści, na czele ze swoim przywódcą, André Bretonem, postulowali powszechną rewizję wszystkich ideałów i wartości, na których opierało swoje funkcjonowanie społeczeństwo mieszczańskie. Bunt nadrealistów kierował się przeciwko światopoglądowi utylitarnej racjonalizmu. Zbliżyli się do podstawowych wartości tradycji romantycznej, którą dziedził i rozwijał. Jednakże surrealizm, walcząc z ograniczeniami piaskowego racjonalizmu, nie zniósł w ogóle myślenia racjonalistycznego. Cele poznawcze, jakie przed sobą stawiał surrealizm, miały być dokonane poprzez syntezę pierwiastka racjonalnego i irracjonalnego, prawdy i marzenia, jawy i snu, doświadczenia i intuicji. Stąd brała się fascynacja surrealistów chorobami psychicznymi, wszelkimi formami objawu, stanami halucynacyjnymi i marzeniami sennymi. Stąd pochodziło uwielbienie, jakim darzyli surrealiści Freuda i jego teorię psychoanalizy. Surrealiści najwyższymi stawiali i cenili wyobraźnię.

Działalność artystyczna była dla surrealistów dziedziną podporządkowaną założeniom światopoglądowym. Sztuka nie była tu celem samym w sobie, lecz środkiem do wyzwolenia człowieka, manifestacją buntu wobec ustalonych norm społecznych i moralnych. Sztuka nadrealistyczna nie tylko miała za zadanie zrewolucjonizować świat, ale była również — w aspekcie twórczym — wyzwaniem znaczącym tradycyjnym pojęciem twórczości artystycznej. Bawiem dla surrealistów sztuka miała być ekspresją pełnej istoty człowieka nie skazanej deformującymi wpływami umysłu artysty.

„Pies andaluzyjski” Buneuła był utworem doskonale odpowiadającym założeniom surrealistycznej rewolucji. Kiedy w 1928 roku młody nikomu nie znany Hiszpan, pokazał swój film w awangardowym kinie paryskim „Ursulines” André Bretonowi i jego przyjaciółom, przyjęli oni „Psa andaluzyjskiego” z wielkim aplauzem, a jego autora, a także jego współscenarzystę malarza Salvadora Dali uznali za członków swojej grupy. Trudno streszczać utwór, który jest ciągiem gwałtownych, pełnych okrutnej niekiedy ekspresji obrazów niepodporządkowanych jakiegokolwiek logice fabularnej, lecz logice marzenia sennego. Dlatego zbliżone wyobrażenie o jego wartości może dać fragment scenariusza drukowanego w piśmie „Surrealism w służbie rewolucji”.

„Balkon noca. Pewien mężczyzna ostrzy brzytwę w pobliżu balkonu. Mężczyzna patrzy w niebo poprzez szyby i widzi... niewielką chmurkę, która płynie ku księżycowi w pełni.

Głowa dziewczyny o szeroko otwartych oczach.

Ku oknu posuwa się ostrze brzytwy.

Lekka chmurka przecina w tej chwili księżyc.

Ostrze brzytwy przesuwa się po oku dziewczyny, przecinając je.

Pusta ulica. Pada deszcz.

PIES ANDALUZYJSKI

Jakiś osobnik ubrany w ciemnoszary garnitur jedzie na rowerze. Głowę, plecy i łydźwie ma przesiane skrawkami białego piętka. Na jego piersi wisi na sznurkach kwadratowe pudełko, skośnie pomalowane w pasy czarno-białe. Osobnik jedzie naciągając machinalnie pedały, z wolną kierownicą, trzymając ręce na kolanach (...)

W „Pse andaluzyjskim” można było odnaleźć zasyzyfowe nieomal wszystkie idee surrealizmu: gwałtowny bunt przeciwko wszelkim tabu społecznym, moralnym i obyczajowym, tęsknota do wolności, swobodę pragnień i namietności, „miłość szalona” i kult wyobraźni. Bunuel nazwał swój film „namietnym i rozpaczliwym wzwaniami do mordu”.

„Pies andaluzyjski” głęboko tkwi w tradycjach sztuki hiszpańskiej, co przejawia się w skłonności do makabry i okrucieństwa, w obrazach gwałtownych i drastycznych, które wywołują szok u odbiorcy. Mają one wyrwać widza ze stanu życiowej równowagi, wyzwolić jego wyobraźnię i wytworzyć w jego psychice taki stan, w którym — jak pisał Breton — „świadomość i podświadomość, rzeczywistość i urojeń przestają być postrzegane jako sprzeczność”. W „Pse andaluzyjskim” pojawia się po raz pierwszy motyw tematy, który będzie towarzyszył całej drodze twórczej Buneuła. Chodzi o obsesyjny antyklerykalizm wyrażony w swojej pasji świętokradycznej i bluźnierczej, a jego źródłem należy również upatrywać w hiszpańskim dziedzictwie kulturowym.

Treść „Psa andaluzyjskiego” jest wieloznaczna — jego sens istotny starano się zinterpretować, postępując się kluczem psychoanalitycznym. Trudno wszakże precyzyjnie wyjaśnić znaczenie filmu, którego walorem jest właśnie brak jednoznaczności, przekaz emocjonalny a nie intelektualny. Ograniczmy się zatem do stwierdzenia, że jest to film wyrażający rozpaczliwe znieolenie człowieka, dla którego jedyną możliwością wolności jest miłość.

Film jako sposób kreacji artystycznej dawał do ręki surrealizm instrument —

zdałoby się — idealny do tworzenia dzieł oddających zawrotność wizji sennych. Film z samej swej natury estetycznej jak i sposobu jego odbioru zbliża się do psychicznej struktury snu. Film zatem oferował surrealizmom ogromną możliwość w zakresie techniki zapisu automatycznych skojarzeń obrazowych. Jednakże te same możliwości techniczne skutecznie utrudniały spontaniczność i bezpośredniość notacji. Za tę cudowną wspólnotę strukturalną z prawdziwym snem film musiał zapłacić kompleksem fałszyfikatki wizji sennej.

W filmowym surrealizmie istniało jeszcze jedno niebezpieczeństwo, które sprawiło, że kierunek ten w swojej najbardziej ortodoksyjnej postaci wódł w historii kinematografii żywot podziemny i efemeryczny. Nadrealistyczne filmy w pełni imitujące poetykę snu gwałciły w jaskrawy sposób pewne nawyki percepcyjne widza, który w wieloznacznych obrazach starał się za wszelką cenę doszukać logicznego, jeśli nie fabularnego sensu. Tymczasem filmy te sensu takiego nie zakładały i ta sprzeczność zadecydowała o rozminięciu się intencji surrealistów z odbiorem społecznym. Autor „Psa andaluzyjskiego” rychło zrozumiał ten konflikt z widzem filmowym i z tego przede wszystkim powodu ten klasyczny surrealist, jakim Bunuel pozostał do dzisiaj, przeszedł mądrą ewolucję, która polegała na porzuceniu estetyki awangardowej na rzecz konwencji fabularnej, przy jednoczesnym dobowaniu wierności ideałom młodzieńczego buntu.

Mimo tych sprzeczności surrealistyczna twórczość filmowa zapoczątkowana „Psem andaluzyjskim” przeżyła się w historii kinematografii romantycznym nurtem nonkonformizmu aż po dzień dzisiejszy i stanowi wzruszający przykład ciągle żywego pragnienia, aby film uczynił miejscem niepowtarzalnej, głębokiej osobistej i prawdziwej spowiedzi człowieka.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



OSTATNIE WYZNANIE

Aktor Burt Lancaster poruszający się w przepięknym, niezwykłym wnętrzu domu Profesora, wywołuje pierwsze, nieuchronne skojarzenia. To książę Salina, bohater „Lamparta”, któremu przyszło żyć w latach siedemdziesiątych naszego wieku. Profesor, tak jak ongi książę Salina, jest świadom przemian, które trudno mu akceptować, które będzie się jednak starał zrozumieć, by na tej drodze dojść nie tyle do zgody na nie, ile do pełnej świadomości ich dziejowej nieuniknioności. Książę Salina przygłądzał się zdarzeniom rewolucyjnym, zmieniającym polityczno-społeczne oblicze otaczającego go świata. Bohater filmu „Portret rodzinny we wnętrzu” przygłądza się rewolucji moralności i obyczajów, w której nie pobrzmiewają jedynie echa wielkich świętstw współczesnego świata, w którym poruszają się ci obserwowani, egzystujący w momencie określonej stabilizacji, a nie rewolucyjnym przemian. Ludzie, wobec których bohater filmu Luchina Viscontiego postawę swą określić jest zmuszony, są wytworem epoki, są jej znakami.

Protoplasta Profesora — książę Salina, patrząc na tych, którzy przychodzą, przyjmował, mimo wszystko, postawę zrozumienia, co więcej, a to bardzo ważne, określonej nadziei. Profesor z „Portretu” może starać się jedynie o odnalezienie tej pierwszej postawy. W ostatnim filmie Luchina Viscontiego trudno już odnaleźć wartości, które rzucałyby promień światła na to, co ma nastąpić. Wielka walka Profesora z samym sobą o to, by odnaleźć się w tym nowym dla niego świecie, kończy się zwycięstwem politycznym, a właściwie klęską, bo celowość tego zwycięstwa zostaje za-

wieszona w próżni. Po drugiej stronie nie odnalazł niczego, co by przedstawiało wartość inną, aniżeli tylko jednostkową próbę duchowego porozumienia z tym jednym, który wydawał się przechowywać, skażoną to prawdą, ale jednak wspólną wrażliwość na te wartości życia, które pokolenia przekazują sobie ponad burzami ich społecznych dziejów. Śmierć Konrada odbierze Profesorowi te ostatnią szansę podania ręki nadchodzącym czasem.

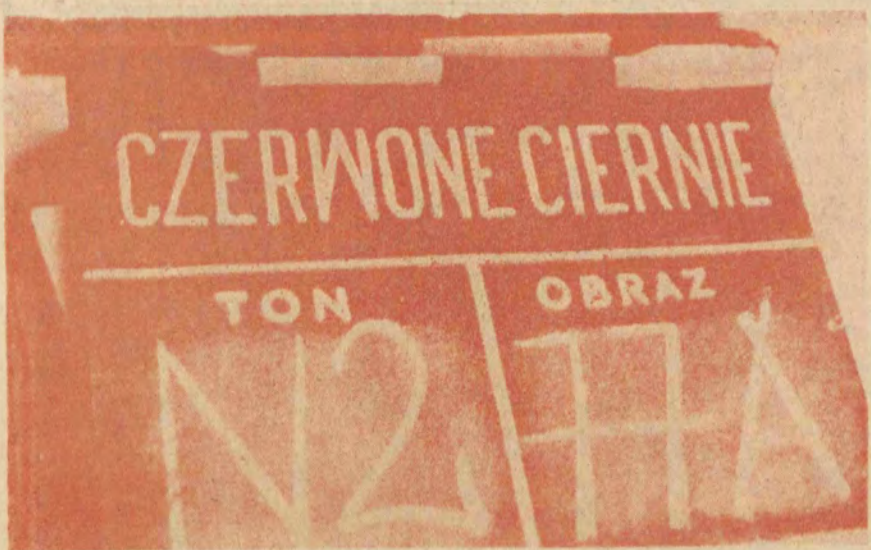
Określone podobieństwo sytuacji dwóch porównywanych bohaterów filmu Viscontiego każe mi rozumieć wyznanie zawarte w „Portrecie” jako głos pozabawiony tej ukrytej nadziei, jaką wypełniony był jednak „Lampart”. Tonacją główną „Portretu” jest smutek i rezygnacja, brak wiary w ocalenie choćby cząstki wartości przez twórcę tego filmu kulturowych. Akcentuję tę sprawę, gdyż w większości interpretacji tego filmu stykam się z innym jego odczytaniem. Interpretatorzy podkreślają ową trudną drogę bohatera filmu prowadzącą do zgody na świat ma obcy, ową lekcję „mądrej pokory”, jaką Profesor przeszedł, a która pozwoliła mu wyrwać się z izolacji i pustki wewnętrznej, której nie mogła wypełnić li tylko miłość do sztuki. Tak, to po części prawda. Bohater o którego przeszłości wiemy niewiele, wystarczająco jednak dużo, by wiedzieć, że jego życie prywatne określone układami z innymi ludźmi skończyło się klęską, jest dziś samotnikiem z wyboru. Żyje wśród dzieł sztuki, obrazów, książek i muzyki. Wydaje się, że ten świat wypełnia jego życie absolutnie. Spokój jego domu zakłóca przybysze z zewnątrz. Łudzie ci nie tylko ów spokój zburzą,

wniosą w ten dom powiew innego świata — życia aktywnego a nie kontemplacyjnego.

Stajemy się wówczas świadkami bardzo ludzkiej sytuacji. W postawie Profesora bierze górę wewnętrzny nakaz wiążenia się aktywnie w bieg życia, potrzeba odzyskania wspólnoty z innymi, kontaktu z drugim człowiekiem, którego nie może zastąpić jedynie kontakt ze sztuką. I tę próbę bohatera filmu podejmuje. Za cenę rezygnacji z dawnych nawyków i wartości pragnie być wśród ludzi, bez względu na to, jacy oni są. Są żywi i miejsce żyjącego jest wśród nich. Jakość owego życia, konkretyzująca się w jego stylu, za którym stoją określone realia przez Viscontiego jedynie sygnalizowane, spowodują, że próba ta zakończy się jednak klęską.

Jeśli traktować postać Profesora jako alter ego Luchina Viscontiego, a mamy, sądzę, po temu prawo, to jego ostatni film pozostanie świadectwem bardzo gorzkiego wyznania tego wielkiego artysty. Jego cała twórczość była próbą zatrzymania odchodzącego w niepamięć świata. Była to jednak próba rozumna, bo selekcyjująca wartości, odrzucająca to, co chore, skazane na zagładę i ratująca to, co ocalić trzeba. W „Portrecie” rodzinnym we wnętrzu” u schyłku swego życia Luchino Visconti zawarł testament, w którym mowa o tym, iż nie widzi spadkobierców owych wartości. Ci, wśród których przebywał, z którymi za wszelką cenę szukał porozumienia, nie są zdolni owego ocalenia się podjąć.

EWA NURCZYŃSKA



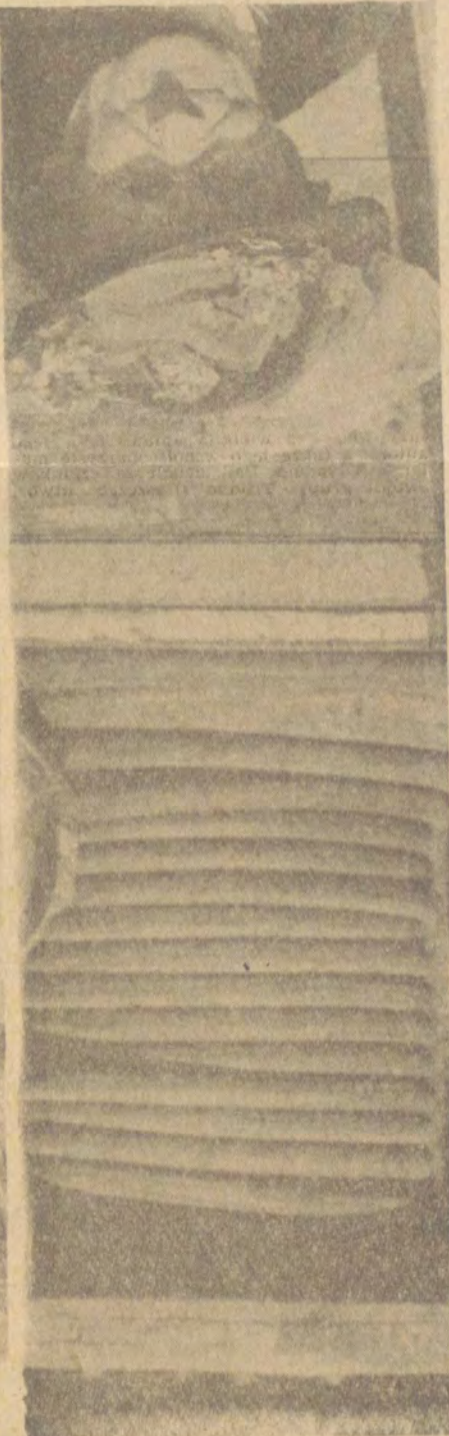
Pod takim to kryptonimem ukrywa się jedna z lepszych powieści o Łodzi, jakie udało mi się do tej pory przeczytać, ekranizowana właśnie książka Władysława Rymkiewicza „Czas pojedna, trawa porośnie”. Filmowcy, ścisłej zaś reżyser Julian Dziedzina, mieli dobrego nosa, chociaż na adaptację głośnego utworu musieliśmy czekać blisko siedem lat. Podjął się jej wreszcie wytrwały poeta Stanisław Grochowiak, którego urzekł chyba koloryt tej doskonałej powieści. Wystarczy przecież zacytować: „Siedział między nimi w stolarni na kupie wiorów sadząc może niekiedy, że jest jednym z nich. I że oni traktują go na równi z tymi, którzy pracowali w stolarni, że uważają go za jednego z nich, za swego. Ale to była nieprawda, wiedział, że tak nie jest. Tamci, dawni przyjaciele, również niby uważali go za swego. Ale tamci dawni to byli niby przyjaciele, każdy z nich sprządałby go za wygraną partię pokera. Dobrze było to, że zerwał z tamtym światem. Sak w tym, że ci nowi, przyląwszy go do swego grona, jakoś nie bardzo chcieli go oznać za swego”.

Oto charakterystyka Wolnicza, lewicującego inteligenta, którego fala rewolucji 1905 roku wynosi na barykady czerwcowego powstania w Łodzi. W filmie Dziedzina tę skomplikowaną psychologicznie postać kreuje Jan Nowicki. A oto inni bohaterowie: Julia (Barbara Wrzesińska), Mania (Emilia Krakowska), Legart (Mieczysław Voita), Sznajder (Michał Pawlicki), Sulek (Mieczysław Hryniewicz), Lesniewski (Stanisław Michalski), Oleciec (Stanisław Jaskiewicz).

Władysław Rymkiewicz należy do najbardziej konsekwentnych pisarzy łódzkich. Dość wspomnieć, że „Czas pojedna trawa porośnie” jest częścią monumentalnego tryptyku, w skład którego wchodzi także książka „Trzystu pod Dobrą” (o wydarzeniach Powstania Styczniowego) oraz „Widok z Księżego Młyna” (o Królestwie Scheiblerów). Można do tych pozycji dorzucić jednym tchem powieść „Cierzka z Ziemi Obiecanej”, której powinowactwo z zasadniczym cyklem Rymkiewicza nie wymaga chyba dowodu. Humacny się bowiem przez sam tytuł. Toteż raz jeszcze twierdząc, że filmowcy mieli dobrego nosa. Andrzej Wałda udowodnił niedawno, że Łódź jest ogromnie fotogenicznym miastem. Na podstawie powieści Reymonta ukazał nam proces żywiołowego rodzenia się miasta. „Czerwone ciernie” są chyba orzeczeniem „Ziemi Obiecanej”, a więc czymś więcej niż tylko powtórką z tematu. Zwłaszcza że zdjęć do tego filmu podał się doświadczony operator Maciej Kłkowski, produkcją zaś kierują dwaj „groźni” panowie: Zbigniew Breitkopf oraz Czesław Jacenko. Autorem scenografii jest Bolesław Kamvkowski.

Miejmy nadzieję, że adaptacja Grochowiaka potrafi nam oddać urodę i złożoność powieści Władysława Rymkiewicza. Nie jest to zresztą zadaniem łatwym. Pamiętamy przecież, że w roku 1905 Łódź stała się symbolem miasta, które upominało się o swoją godność narodową i społeczną. Wielki temat wymaga wielkiego wykonania. Oby film „Czerwone ciernie”, na który z niecierpliwością czekamy utwierdził nas w tych nadziejach.

K. F.



POEZJA ŁÓDZKIEJ ULICY

Pośród twórczości ludowej szczególnie miejsce zajmuje folklor robotniczy, związany z życiem wielkich ośrodków przemysłowych. Reprezentuje on wielkie bogactwo treści oraz nastrojów i chociaż niejednokrotnie wykazuje powinowactwo z twórczością ludu wiejskiego albo dla odmiany z odpowiednio zaadaptowaną sztuką mieszczańską, można mówić o nim jako o zjawisku zupełnie odrębnym, autonomicznym. Jest to dziedzina żywa, gdyż folklor ten rozwija się jeszcze dziś, choć oczywiście nie tak żywiołowo jak w początkach epoki industrializacji, kiedy wyrażał nastroje ulicy opowiadając o doli i walce klasy robotniczej i kiedy w ulotnej pieśni spełniał funkcje agitacyj-

ne zagrzewając do oporu i wytrwania. Folklor łódzkiej klasy robotniczej, mimo wyraźnych akcentów regionalnych wykazuje pokrewieństwo z twórczością proletariacką innych miast, a nawet krajów. Spotkamy w nim treści rewolucyjne, ale spotkamy także najczystsza lirykę, nie brak także humoru i wyraźnych rysów obyczajowych. Ta słabo jeszcze poznana dziedzina stanowi nieocenione bogactwo dla etnografów, socjologów kultury i historyków zainteresowanych dziejami proletariatu. Materiały publikowane na tej kolumnie pochodzą z wielu źródeł. Między innymi wykorzystaliśmy antologię Eugeniusza Ajnenkiela pt. „Czerwona lutnia”, która przynosi bogaty wybór pie-

śni robotniczych. Sięgnęliśmy także do katalogu pt. „Folklor robotniczej Łodzi” wydany przez Biuro Badań i Dokumentacji Zabytków Muzeum Historii Miasta Łodzi, który zawiera plony rozpisane w 1973 roku konkursu folklorystycznego. Z pomocą przyszło nam także Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi, którego dział kultur miejskich podjął pionierskie badania twórczości plebejskiej. Miło nam jest jednocześnie podziękować pani mgr Elżbiecie Władkowskiej za udostępnienie ciekawych zbiorów Muzeum.

KONRAD FREJDLICh



Fot. Jerzy Stankiewicz

ŁODZIANKA

Smiało podnieśmy krwawe sztandary,
Jasną zielenią opaszmy akroń,
Okołmy, pełni siły i wiary,
Na bój śmiertelny chwycili broń.
O, bo to walka o wolność ludu!
Sztandar nasz krwawy — braci to krew.
Droga przed nami z cierni i trudu,
Uczniela w pierś — zemsta i gniew.
Naprzód, o Łodzi, w krwawej powodzi,
Poległych braci pomścić już czas.
Czas, by stanęli starzy i młodzi
Walcząc za wolność, czas, wielki czas!

Dziś, gdy nas gnębią różne Szajbłery,
Gdy majster każdy — szpicel i cham,
Gdy ufną w pomoc rządu Gajery
Pędzą laknących pracy od bram,
Gdy z Kaznańskiem Poznanski w zgodzie
Gdy razem chłosem nędzą i biał,
Gdy za łosem w głodzie i chłodzie
Umiera ojciec, siostra i brat,
Naprzód o Łodzi, w krwawej powodzi,
Zerwijmy pęta z gnębionych mas,
Stażmy do walki, starzy i młodzi,
Czas pomścić braci poległych, czas!

Gdy setki naszych męжных szermierzy
Poszło na Sybir do carskich turm,
Niech wstają nowi dziś bohaterzy,
Rozdzwoniła cisze odgłosem surmi!
Za groby które zszeszczali wróg,
Zemsta przysiężmy — wstańmy jak morze
I zmiećmy przemoc z dziełowych dróg!
Naprzód o Łodzi, w krwawej powodzi,
Poległych braci pomścimy wraz,
Stażmy do walki, starzy i młodzi,
Bo przyszła chwila... Już nastał czas!

TAM GDZIE RUCH FABRYCZNY WRE

Tam gdzie ruch fabryczny wre,
tam gdzie pył twe płuca zre,
gdzie transmisji pas pędzi cały czas,
dziewcze tam pracowało,
ręk swych nie żalowało,
dla matki swej, by ulżyć jej,
uwierzyć chciały.

A motor huczy jakby nie
i chociaż pot jej spływa z lic,
motor maszyna głucha,
jej skargę nie słucha,
i nie wie nic
motor to rzecz bez duszy,
nie go nie waruszy ni ból, ni łzy.

I to samo jest co dzień,
przy maszynie stoi cień,
suchotnicza twarz, ręce mdleją aż,
a matka w domu chora
trzeba by jej doktora,
a praca trwa, a majster gna,
pracować trza.

A motor huczy... itd.

Raz rozległ się straszny krzyk,
więc wstrzymano motor, w mig,
w trybach leżał trup, robotnicy grób,
za trumną szedł zgnębiony
jej drogi narzeczony,
co kochał ją, ja tylko miał,
poślubić chciał.
A motor huczy... itd.

DO MOJEGO MIASTA

Wierzę, że staniesz potężna, o, Łodzi,
Będziesz brylantem w krwawej koronie,
Czysta, obmyta w strasznej powodzi,
Nowy duch i życie od Ciebie wionie!

Wierzę, że wstaniesz silna i mężna,
Grzmoty, piorany zbudzą Cię do życia
Jak kiedyś silna, potężna
Staniesz do boju wśród burzy wyciał

Tyś nie uległa przemocy ślepaczy,
Chociaż cię darli, pierś twą krwawili,
Tyś z bólu zginęła, z wielkiej rozpacz —
Ciebie synowie twoi poranili!

Zbudzisz się, twierdzą proletariatu!
Zadrża tyrani i twój zbrodniarzel!
Ty wtenczas powiesz całemu światu,
Ze cię zgubili niecne szantaże.

My oczy Twoje do snu zamykamy,
Ufną jednak w Twe zmartwychwstanie,
Na łożu śmierci do Ciebie wołamy —
Łodzi! Twa sława znowu powstanie!

NADSZEDŁ MAJ UROCZY

Nadszedł maj uroczy,
zielenieje błoń i las,
zaświecił każdy z nas,
fabrykanek w lament, krzyki,
postanęły im fabryki,
to mi raj, to mi graj,
niech się wali, niech się pali,
my będziemy świętowali,
wszyscy razem, hop! hop!

HEJ ŁODZIANKO...

Hej łodzianko czemuś smutna,
czemu blada twoja twarz,
ty o Łodzi ciągle marzysz,
ty ja pewno w sercu masz.

Nedza z Łodzi mnie wynęła,
głód mnie rzucił pośród was,
spiewałabym, nie mam komu,
szumi tylko wokół las.

Jest tu u nas chleb i praca,
nie dokucz ci tu głód,
sa tu domy i palace
i jest tutaj dobry lud.

Wole w Łodzi nedzę znieść,
wole nedzę, wole głód,
jeszcze dzisiaj was porzuce,
pójdę między łódzki lud.

W Łodzi ojciec, w Łodzi matka
w Łodzi jest mój cały ród,
w Łodzi żem się urodziła,
w Łodzi będę brała ślub.

Łódź — moje rodzinne miasto,
ten potężny fabryk gród,
w Łodzi swoje życie spędzę,
w Łodzi będzie dla mnie grób.

RÓG FRANCISZKAŃSKIEJ

Róg Franciszkańskiej i Bałuty
tam gdzie z kwiatami stoi Kłab,
tam jest hurtowy skład na buty
pod firmą Pomeranc i Gold,
Towaru jest tam bez uroku,
że można liczyć na tysiące sto,
jak wskazał bilans tego roku,
bylbym szczęśliwy gdyby nie to:

Ze jest to do spółki z Izakiem
z tym łobuzem, z tym łajdakiem,
ze jest to do spółki z Izakiem,
on zrobił tyle co i ja.
A może mam nawet przewagę nad pętkiem,
może mam więcej o procent lub dwa,
lecz i to jest do spółki z Izakiem
i ten buchalter też w tym coś ma.

Dzieciaki moje rosłe chlopy
do szkoły chodzą uczyć się,
mam tego może ze ćwierć kopy
no i córeczki ładne dwie.
Pan z tego to byś był kontenty,
pan z tego to byś cieszył się,
lecz ja chodzę jak z nóg ścięty,
bo wiem, bo wiem, że:

Jestem do spółki... itd.

Mnie karze Bóg za dawne grzechy,
bo gdy pracuję zawsze mam,
wyprowadzam książki i bebechy,
to on się śmieje niepoń, cham.
Raz mi mówiła moja żona,
kup los, wypróbuj szczęście swe,
wygrałem przeszło pół miliona
pan myśli że sam, o nie!

Bo i to jest do spółki z Izakiem,
z tym łobuzem, z tym łajdakiem,
bo i to jest do spółki z Izakiem,
on wygrał tyle co i ja.
A może mam nawet przewagę nad pętkiem,
może mam więcej o procent lub dwa,
lecz i to jest do spółki z Izakiem
i ten buchalter też w tym coś ma.

ŚMIERĆ PROWOKATORA

Dnia siódmego października
Radość jakaś nas przenika
I czekamy w serca drżeniu,
By coś słyszeć o zdarzeniu,
Jakie zaszło dzisiaj w lesie.
„Rozwój” nam wiadomość niesie,
Ze szpie, zdrajca — Adam Galus,
Swa zaplate dzisiaj znalazł.
Jadać rano do Widzewa
Galus ani się spodziewa —
Wiem mu w oczach coś zaświecił:

„Och! to topór w łeb mój lecił!
Tyle braci już sprzedałem,
Nowych jednak wciąż szukałem;
Za te grosze judaszowe
Postawiłem swoja głowę
I poczułem straszną trwogę,
Ze uciekać już nie mogę...
I tak leże z rana w głowie,
Aż przyjedzie pogotowie...”

Ludu zbiega się gromada,
Jeden drugiemu opowiada,
Ze za zdradę swoich braci
Pod toporem łeb swój tracił.
„Ach! ty szpiclu, ty niesworze,
Ty przeklęty prowokatorze!
Krwia się braci swych tuczyleś
I na topór zastużyłeś!”

Zdrajców kara dziś nie minie,
Muszą zginąć jak te świnię,
Toporem się wali w głowę,
„Precz, wy dzieci judaszowe!”

NA ŁAGIEWNICKIEJ...

Na Łagiewnickiej za rogatkami,
mieszkała sobie z rodzicielami,
zwinna jak kotek, zgrabna jak myszka,
na imię miała panna Franciszka.

A tatuś Frani to był rzeźnikiem,
zabijał świnię, padały z kwikiem
i nawet czelka był zabijał hiski,
taki był tatuś panny Franciszki.

A mama Frani to jatka miała,
co tatuś zabił, mama sprzedawała,
wysprzedawała szponder i kiszki,
to była mama panny Franciszki.

Sobek i Dobek w niej się kochali,
do jej serduszka się zalecali,
raz nawet Sobek z tatą rzeźnikiem,
zawali pały se alembikiem.

Naprzeciw mieszkał fryzjerek młody,
co strzygał włosy i golił brody,
on co dzień rano kupował kiszke,
bo on też kochał pannę Franciszkę.

A gdy się tatuś dowiedział o tem,
to ryknął jakby rażony młotem,
nie chce ja zięcia, co rwie klaczyśka,
nie dla fryzjera moja Franciszka.

FOLKLOR ŁÓDZKI



Foto: W. Parys

WIESŁAW JAŹDZYŃSKI

Miasto smutnego HUMORU

— Mówią, żeś pan zbankrutował.
— Nie wierz pan temu... Iża bezcelnie! O panu jeszcze gorsze rzeczy mówią.

— No, cóż takiego?
— Ześ się pan uczeźwie porachował z wierzycielami."

Sądze, że to był typowy, przeciętny dowcip łódzki z lat międzywojennych i nawet wcześniejszych. Nie najprzedsniejsi, chciałoby się powiedzieć — smutny, ale dość chyba trafnie obnażający antyhumanistyczne oblicze moralne ludzi „interesu”, żyjących pomiędzy zyskiem i plażą, obojętnych na takie kategorie moralne jak uczciwość, przyjaźń, lojalność, szacunek dla drugiego człowieka.

— Ależ panie, pan mnie bezcelnie oszukal!
— Mój panie, na świecie nie ma oszustów, ani uczeźwych. Są tylko mądzy i głupi."

Gorzkim to dowcip, ale zgodny z prawdą o tamtych czasach braku jakichkolwiek norm moralnych, które mogłyby porządkować życie w mieście, gdzie bogiem był pieniądz, a celem zysk za wszelką cenę.

— Jaka jest różnica między występkiem a zbrodnią?
— Zarwać kogoś na 300 rubli — to występki, a mąć zarwać na 25.000 i nie zarwać — to zbrodnia."

W tamtych latach dzielono łódzian na chudych i tłustych. Pierwsi już zbankrutowali, drudzy wypaśli się na tych właśnie bankructwach. Pieniądz wdarł się we wszystkie dziedziny życia, nawet najbardziej intymne. Odpalony w ten sposób mścił się na kochanku (żony, narzeczonej, kochanki), że wykupywał i oddawał do protestu weksle znieznawionego konkurenta. Pieniądz dyktował nawet miłosne wyznania.

— Ach, panno Regino, pani potrzebujesz mieć skórę, jak prawdziwy aksamit, co mnie samego do handlu kosztuje po 25 marek per metr, na termin trzy miesiące lub 5 procent sconto za gotówkę."

Dowcip publikowany w prasie, pilnie strzeżony przez cenzora, nie sięgał zbyt głęboko w życie robotniczego miasta, unikał ostrych spięć klasowych, uciekał do kawiarni, kiedy Łódź wstrząsały strajki, zamykał się w kręgu plotek o prezycencie, prezycach i dyrektorach. A jednak uważniejszy czytelnik troskliwie kontrolowanych gazet mógł się doszukać jakiegoś ułamkowej prawdy o społecznych stosunkach panujących w kapitalistycznej metropolii. Chętnie żartowano

z rozmaitych przejawów kryzysu gospodarczego, pomijając skrzętnie jego skutki, odczuwane najdotkliwiej przez robotników. Bohaterami dowcipów bywali z reguły posiadacze i ich kłopoty.

— Pożycz mi sto złotych, dam ci na zastaw fabrykę, tysiąc dwieście warsztatów.

— Nie ma głupich! Potem stu złotych nie oddasz, a ja zostanę z fabryką."

Dowcipne aluzje na temat ludzkiej nędzy trafiały się rzadko, można je było jednak czasem znaleźć.

— Nie jeden doktor syty
Ma tu w Łodzi odczyty:
Jak pokarm trawić „trzeba”?"...
Ale odrzec nie umie,
Gdy go pyta ktoś w tłumie:
A jak trawić bez chleba?"

Równie rzadko przedostawał się na łamy gazet dowcip polityczny, chociaż z pewnością byłby przekazywany z ust do ust. W roku 1933, a więc w czasie kryzysu i gwałtownych starć klasowych, opowiadano sobie w kręgach dziennikarskich taki dowcip:

— No, co porabiasz?
— Pisuję do pewnej stołecznej gazety. Prowadzę dział wiadomości z prowincji, dostaję 10 groszy od wiersza. A ty co robisz?"

— Ja też pisuję, ale do łódzkiej gazety. Prowadzę dział wiadomości politycznych z fabryk i kantorów. Dostaję nieraz 10 tygodni za wiersz."

Autorzy dowcipów mieli często dobre oczy, wiedzieli wiele mankamentów w życiu Łodzi, przypinali więc łatki komu się dało — magistratowi, Kasie Chorych, Klubom sportowym, zwłaszcza ŁKS-owi, a także i gastronomii. Nie inaczej dzieje się obecnie. Jestem pewien, że niektóre żarty nie straciły aktualności po dzień dzisiejszy, chociażby te o gastronomii.

— Czy to już jest cały obiad?
— Tak, proszę pana, zupa, mięso, legumina i kieliszek nalewki walerianowej.

— Po co te krople walerianowe?
— Aby goście po obiedzie nie denerwowali się. To wynalazek naszego kucharza."

Nie taki znowu zły wynalazek. Współcześni kierownicy kuchni nie wpadli na podobny, chociaż gotują również klepsko. Łódzcy kelnerzy, przynajmniej niektórzy, także nie zmienili obyczajów. W roku 1936 opowiadano na ich temat następujący dowcip:

— U wróżbity na Chojnach.
— Od pół godziny staram się wejść

w kontakt z duchem pani męża — mówi medium do niepokieszonej wdowy Woźniakowej.

— Niech pan ma jeszcze trochę cierpliwości. Mój mąż był za życia kelnerem w kawiarni „Pod Siwym Felkiem”.

Nie dodać i nie ująć, tylko nadal powtarzać. I dzisiaj bywa z naszymi kelnerami jak z duchami. Wszyscy o nich mówią, ale mało kto widział.

W Łodzi mieszkało w tamtych latach znacznie więcej ludzi o nieuregulowanym stosunku do języka polskiego niż dzisiaj. Żartowano więc z polszczyzny szyldów, najbardziej rzucających się w oczy.

„Krawiec reperuje stare dzury. Wychożą jak nowe.

„Z powodu chrzczyzna mego syna sklep zamknięty na dwa godziny."

„Lody Chrześcijańskie"

„Restaracja. Honigschmoeck Izydor. Ma pieczone gąski, mleko prosto ze studni, dobre być psickonski"

Osobny rozdział stanowiły dowcipy związane z sytuacją kulturalną Łodzi. Nie była to najlepsza sytuacja w mieście, gdzie przeciętny człowiek interesu pytał podczas wernisza nie o obraz, ale o bufet, (dzisiaj też się taki trafi) a kiedy konduktor tramwajowy zapowiadał Plac Reymonta, dziwił się mocno, ponieważ nie słyszał, żeby Gayer sprzedał plac nikomu nie znanemu Reymontowi. Stąd taka frazka:

„Literatura — nie bawelna
Ani fabryka kurzu pełna,
Przeło się każdy chyba zgodzi,
Że słusznie nie na nie obchodzi”.

Powiadano złośliwie, że jedyną trafną decyzją, podjętą w Łodzi było zbudowanie kina „Przedwiośnie”, przy ulicy Żeromskiego. Miły gest wobec zmarłego pisarza, być może nawet gest świadomy, nie oznaczał jednak szacunku dla żywych pisarzy. Wśród propozycji nagrobnych napisów, jakie lansowała ówczesna prasa, znaleźć było można również projekt epitafium dla łódzkiego literata.

„Tu leży literat, niech się dziwią przechodnie,
bo za życia posiadał niedziurawe spodnie."

Dzisiaj takie pożegnanie pisarza nie miało sensu. Spodnie to żaden problem, a nawet i sama śmierć. Sztandynger powiada:

„Nietrudno umrzeć, moł miłł,
Wszyszy to jakoś potrafili”.

GOSPODARKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

CZŁOWIEK I MASZYNA

Wszędzie szukamy rezerw, więc ja pozwolę sobie odwołać się do... archeologii. Czy — kiedy będąc na przykład w muzeum — zwróciście uwagę, że owe prymitywne przedmioty, narzędzia, broń, używane przed wiekami przez naszych prapraprzodków są doskonale wygładzone, przykrojone i wymodelowane do takiej formy, by mogły możliwie najlepiej wypełniać swoje funkcje, były wygodne w użyciu choćby przez dopasowanie kształtu do broni użytkownika?

W taki to sposób, niejako bezwiednie, dawny człowiek wypełniał to, te wszystkie zasady przy konstruowaniu przedmiotów i narzędzi, które dziś umjnie w cały system prawideł ergonomii.

No dobrze, ale co to w ogóle takiego jest ta ergonomia, która — jak się za chwilę okaże — robi taką karierę we współczesnym nam termojądrowym i skomputeryzowanym świecie, wywodząc swój rodowód ponoć aż z epoki kamienia łupanego?

Nie bez pewnej satysfakcji trzeba stwierdzić, że jej prekursorem był nasz rodak, polski uczoney — Wojciech Jastrzębowski, który przeszło 100 lat temu w swojej pracy zatytułowanej „Rys ergonomii, czyli nauki o pracy” pierwszy użył tego pojęcia i określił stosowne kryteria naukowe obowiązujące w tej dziedzinie. Rola tej galezi nauki jest ogromna, a można nawet powiedzieć, że w miarę jak rozwija się produkcja wielkoprzemysłowa, jej ciężar gatunkowy znacznie ulega dalszemu zwiększeniu. O co bowiem generalnie chodzi?

Otóż trzeba sobie zdawać sprawę, że w miarę rozwoju produkcji przemysłowej, wraz z jej umasowaniem, następuje proces odrywania poszczególnego towaru od jego przyszłego użytkownika, który staje się właściwie postacią mglistą, a już z pewnością anonimową. Równocześnie producent wytwarzając określone wyroby, przygotowując je i konstruując — musi odpowiedzieć na niebagatelne pytanie: Jak mimo tej przymusowej niejako bezosobowości produktu, możliwie najlepiej dostosować go do owego przyszłego odbiorcy, użytkownika, przy czym konieczność uzyskania właściwej, prawidłowej odpowiedzi odnosi się zarówno do takich wyrobów przykładowo konsumpcyjnych, jak ubranie, obuwie, sprzęty gospodarstwa domowego czy wreszcie samochodów, jak i do środków produkcji, a więc maszyn i urządzeń, którymi w procesie pracy posługuje się człowiek?

Na te pytania właśnie odpowiada — wraz z innymi pomocniczymi naukami — ergonomia. Ale — czy rzeczywiście takie to ważne, czy rzeczywiście ta cała ergonomia nie jest jeszcze jednym wymysłem „jajogłowych”, co to już nie wiadomo jak komplikują oczywiste i proste sprawy?

Posłużę się przykładem, który mam wrażenie w sposób plastyczny i bardzo wyraźny udzielił odpowiedzi na taką wątpliwość.

Otóż w jednej z fabryk zainstalowano dwie pozornie identyczne maszyny. Rzecz jednak dziwna, mimo że obsługiwane były przez ludzi o jednakowych — co stwierdzono — kwalifikacjach, a nawet niemal takich samych, predyspozycjach psychofizycznych, na jednej z nich w tych samych warunkach uzyskiwano znacznie gorsze rezultaty wytwórcze, a ponadto mnożyły się przy obsłudze tej maszyny wypadki, których sprawcą...

Ano właśnie.

Były to tylko pozornie takie same maszyny. W jednym przypadku konstruktor zadbał o spełnienie wymagań ergonomii i wymodelował tak swoją maszynę, że jej obsługa dostosowana była do właściwości psychofizycznych robotnika, natomiast z drugą maszyną było zgoła inaczej, gdyż technika obsługi, rozwiązanie konstrukcyjne było tego rodzaju, że nastroczało trudności w wykonywaniu naturalnych ruchów przez obsługującego, a tym samym ciągle narzało go na konflikt z mechanizmem, obniżając w dodatku efektywność pracy człowieka. Takich przykładów można by tutaj przytoczyć znacznie więcej i można by je odnosić właściwie do każdego przedmiotu, z którym spotykamy się na co dzień.

Wyobraźmy sobie np. szklanekę, ale nie o tradycyjnym kształcie, lecz wymodelowaną w kształcie kwadratu. Podejrzujemy, że nie byłaby ona tak funkcjonalna jak szklanka, którą zwykliśmy się od wieków posługiwać. To samo można odnieść do ubioru, chociaż tutaj niekiedy na przekór ergonomii występuje dyktando mody, niemniej faktem jest, że podstawowa część naszych ubiorów, jeśli ma się cieszyć powodzeniem, dobrą opinią użytkownika musi spełniać, musi być dostosowana do określonej funkcji, a tym samym być zgodna z wymogami, które określa ergonomia.

Jest to więc nauka bardzo praktyczna, a jej stosowanie w życiu przez producentów różnych wyrobów, uwzględnianie zasad ergonomii w projektowaniu i modelowaniu, konstruowaniu różnych towarów ma kapitalne znaczenie dla sprawdzania się tych wyrobów na rynku poprzez sprzedaż właśnie, poprzez popyt na tego rodzaju funkcjonalne, potrzebne, zaspokajające określone funkcje wyroby i produkty. Wydaje się nawet, że obok analizy potrzeb rynku ergonomia, stosowanie w szerszym zakresie zasad jej nauki przez producentów, mogłoby znacznie polepszyć stan zaopatrzenia naszego rynku i odciążać magazyny wielu fabryk od zapasów towarów tzw. „nietrafionych”.

Słowem, ergonomia nie jest jeszcze jedną naukową pułapką czy też jakąś abrakadabramą wymyśloną przez małą grupkę teoretyków zamkniętych w swoich laboratoriach czy gabinetach, ale wiedza, nauką potrzebną w codziennym życiu, a przede wszystkim w warunkach funkcjonowania wielkoprzemysłowej gospodarki, w której mimo wszystko, mimo całej humanizacji, jednostka, przyszły użytkownik danego wyrobu jest anonimowy, bezosobowy.

Dlaczego o tym wszystkim piszemy?

Otóż po pierwsze, by zbliżyć Czytelnikowi jeszcze jedno pojęcie, dziedzinę wiedzy, która zdobywa sobie coraz większą rolę we współczesnym świecie, w jego bardzo złożonych powiązaniach i zależnościach. Z drugiej strony, musimy też dodać, że w naszym kraju ergonomia dopiero raczkuje, że czynimy dopiero pierwsze kroki wyrażające się m. in. powołaniem specjalnego komitetu do spraw ergonomii przy Polskiej Akademii Nauk, placówki, która swoim zainteresowaniem obejmie zarówno poznawanie właściwości człowieka w warunkach pracy, właściwości środowiska materialnego i socjologicznego kształtującego owe warunki. Niebagatelnym problemem, który musi rozwiązać ta placówka, będzie szerokie rozpropagowanie zasad ergonomii do projektowania i oceny wytwarzanych w naszym kraju maszyn, organizacji procesów produkcyjnych, a nawet warunków życia, m.in. odpoczynku z uwzględnieniem możliwie najbardziej korzystnych elementów psychofizycznych człowieka.

Oczywiście komitet jest tylko jednostką organizacyjną, a w gruncie rzeczy powodzenie praktycznego stosowania zasad ergonomii zależy od nas samych. Przecież to w gruncie rzeczy od projektanta i wykonawcy nawet najbardziej skomplikowanych mechanizmów zależy, czy maszyny nawet najbardziej skomputeryzowane nie będą straszne dla współczesnego człowieka.

SPOTKANIE Z GRIZZLY

Droga Andrzeja Sroczynskiego do pisarstwa jest drogą typową i nietypową zarazem. Do swojej prozy nie doszedł ani poprzez reporterskie penetracje obrastające latami coraz bardziej w elementy literackiej fikcji, nie doszedł Sroczynski do tej prozy poprzez doświadczenia poetyckie... A więc droga raczej nietypowa. A jednocześnie — wzorem wielu i to największej miary pisarzy — dochodził Sroczynski do swojej prozy poprzez swoją powikłaną i nieleką biograficę. A więc droga jakże typowa.

W opowiadaniach Andrzeja Sroczynskiego odnajdujemy jednak nie tylko doświadczenia blisko czterdziestu lat życia, ale odnajdujemy i poezję, i wnikliwość obserwacji, wytrawnego reportera. I odnajdujemy smutek i zadumę nad życiem, taki smutek i taką zadumę, do jakich ma prawo ktoś, kto zrozumiał, co to jest samotność i zdrada, śmierć i ból. Ktoś, kto wie lepiej od wszystkich przemądrzałych moralistów świata, że w życiu za parę minut desperacji przychodzi płacić latami samotności.

Niezużyty krytyk mógłby zaszufladkować opowiadania Sroczynskiego do umarłej już kategorii prozy „małego realizmu”. Jest to realizm — zapewne. Ale czy mały?

Te prozatorskie miniatury (na 160 stronach mamy aż 25 opowiadań) traktują, najogólniej mówiąc, o współczesności. Jest w nich zanotowana codzienność, także ta codzienność zwana potocznie „marginem społecznym”. Ale jest tam przecież i ta niezwykła codzienność bez dreszczyku wielkomięskiej egzotyki. Akcja opowiadań dzieje się w parku, na ulicy, w domu, w pracy... Są w nich zanotowane zdarzenia zwykłe, blache i bardzo powszednie, ale przecież życie składa się właśnie z takiej powszedności.

Jest to proza świadomości nieefektywna, Sroczynski nie sili się na wielkie metafory, podwójność znaczeń i drugie dna. Ustrzegł się także moralizatorstwa w opowiadaniach z tzw. marginesu. Ale jest w tych opowiadaniach duszna atmosfera i nastrojowa dławiąca bezradność — oczekiwania na inny dzień, inne życie, oczekiwanie na Wielką Odmlanę.

Myszę, że wymowa tej prozy — moral i sens tych opowieści o codzienności — jest dzięki temu bardziej autentyczna, bardziej szczerza i prosto bardziej ludzka. Sroczynski jest dobrym obserwatorem, widzi ostro w jaskrawym świetle nie tylko otaczający go świat. Nie oszczędza bowiem także swojego narratora — bohatera. Jest to człowiek wrażliwy, uwikłany w przypadki, konieczności, a także uwikłany w swój własny charakter, swoje własne niezdeterminowanie i losy, których sam bywa kowalem.

Sroczynski jest dobrym obserwatorem i dzięki temu jednym z ważniejszych walorów jego prozy jest trafny i dobrze nakreślony rysunek obyczajowy. Jego opowiadania dotyczą konkretnego czasu i miejsca, ich akcja nie dzieje się „w Polsce czyli nigdzie”, ale właśnie tu, w latach siedemdziesiątych. I dlatego jest — jak sądzę — świadomym zamysłem autora owe nagromadzenie drobnych realiów uwierzytelniających ten czas i te miejsca, w które wpisał Sroczynski swoich bohaterów.

Andrzej Sroczynski ma jeszcze jeden atut, który w swojej pierwszej książce w pełni wykorzystał. Jest nim specyficzny słuch językowy. Dialogi jego opowiadań pulsują żywą, autentyczną mową, nie ma w nich ani sztuczności ani retuszowanej egzotyki. Sroczynskiemu niepotrzebna są od autorskie komentarze i charakterystyki. Dzięki doskonale zindywidualizowanemu językowi dialogów potrafi narysować postaci zarówno egzaltowanej dziewczyny jak i cwaniaczka z przedmieścia.

W swoim wyznaniu na temat tej książki Andrzej Sroczynski pisze: „Wszystko, co mam do powiedzenia, zawarłem w tych opowiadaniach. Wydałem mi się przy tym, że nie ma takiej fikcji literackiej, aby poprzez nią nie wyjrzała prawdziwa twarz autora”. Z tych opowiadań widać twarz autora — człowieka lat siedemdziesiątych, uwikłanego w losy i przypadki, dokonującego wyborów mądrych i nierozważnych, przerażonego i pełnego determinacji, czujnego i ufego zarazem. Z tych opowiadań widać także twarz pisarza notującego z zadumą i troską czas, w którym żyje. Blaski i cienie tego czasu.

JERZY WILMAŃSKI

Andrzej Sroczynski „Spotkanie z grizzly”, Wyd. Łódzkie, cena 13 zł.

Rok miniony był dla prozy polskiej pomyślny, przyniósł szereg znaczących powieści. Wpłynęło to zapewne na burzliwość corocznych dyskusji i ocen przeprowadzanych w czasopiśmie literackim. W nurt dyskusji włączyły się również „Szpilki” i piórem Witolda Zechentera wydały sąd prowokacyjnie potępiający:

Czytam i czytam — nic nie rozumiem, gubię się w dziwnych postaciach, żal mnie ogarnia, nuda bezkresna... A to jest polska powieść współczesna!

Wierszyk ów potraktować można jako przewrotne nieco i żartobliwe motto niniejszego szkicu, w gruncie rzeczy bowiem aktualna sytuacja w prozie jest zupełnie niezła. W gronie wyróżnionych przez krytykę utworów wyodrębni się grupa powieści — jak je nazwano — „zagranicznych”: Andrzeja Kuśniewicza „Trzecie królestwo”, Eugeniusza Kabacę „Patrycja” czyli o miłości i sztuce w środku nocy”, Ireneusza Iredyńskiego „Manipulacja” oraz Jerzego Putramenta „Akropol”. Zbieżność dwu pierwszych powoduje do łącznego ich potraktowania. Nastąpił bowiem interesujący styk pisarstwa autorów odmiennych, o zróżnicowanej twórczości. Co ciekawsze w dotychczasowym ich dorobku stanowią te książki swego rodzaju novum i były — co tu dużo mówić — pewnym zaskoczeniem dla krytyki literackiej.

Andrzej Kuśniewicz przemówił jako pisarz w zupełnie nietypowy sposób — późno, gdy liczył sobie lat ponad pięćdziesiąt. I spieszenie niejako odrabiał począł „zaślęgi” czasu: w niespełna dwadzieścia lat od momentu debiutu opublikował dziesięć książek: trzy tomiki poezji i siedem znaczących powieści, określonych przez Kazimierza Wykę jako „c. k. ballado-powieści”. Wznowiane, adaptowane na potrzeby filmu, świadczą o popularności autora wcale niełatwego. Eugeniusz Kabacę zadebiutował przed laty dwudziestu zbiorem opowiadań z kręgu tzw. literatury czarnej, pisarstwo jego ewoluowało następnie w stronę małego realizmu. Z dotychczasowych osiągnięć najgłośniejsze były niewątpliwie „Zółwie” — bezkompromisowy rozrachunek z rówieśnikami należącymi do pokolenia „Współczesności”.

Dwa są w zasadzie podstawowe punkty styżne „Trzeciego Królestwa” i „Patrycji...”: podobne zainteresowanie fałszem anarchizacji kontestacji społeczno-politycznej na Zachodzie oraz — bardzo zmysłowa, nie pozbawiona perwersyjnych odcieni, erotyka.

Obserwatorzy życia politycznego na Zachodzie składają się ku tezie, iż w latach ostatnich przybrały na sile konserwatywne wpływy stabilizacyjne, że wielki nurt reformy społeczeństwa, którego jaskrawym przejawem były kontestacje młodzieży w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, załamał się w momencie, gdy inteligentniejsi jego przedstawiciele zdali sobie sprawę z faktu, jak minimalny wpływ na losy kraju czy świata posiada protest w ich wykonaniu. Nie znaczy to wcale, że kontestacja zniknęła z życia politycznego Zachodu; wyzbyci złudzeń odeszli, na ich miejsce przychodzi nowi. Owe właśnie dramatyczne splecia społeczne i polityczne rodzą określone napięcia w sferze etyki, zapładniają artystów i intelektualistów, stanowią twórczo literaturę.

Najnowsza powieść Kuśniewicza jest gatunkowo niejedynolita i stanowi pomieszanie beletrystyki z esei-

ką; nieskomplikowana fabuła i nledwie traktat polityczny oraz obyczajowy. Obszar tematyczny — współczesność Republiki Federalnej Niemiec (sprzed kilku lat, w momencie dochodzenia do władzy ekipy Brandta-Scheela), ale mnóstwo tu retrospekcji, najczęściej odnoszących się do lat tak plastycznie odmalowanych w głośnym, wysłanym niedawno na naszych ekranach, „Kabarecie”.

Bohater, zarazem zaś narrator, jest znakomicie prosperującym adwokatem w Koblencku, prowincjonalnym mieście Palatynatu. Będący u szczytu powodzenia zawodowego i u szczytu lat męskich, wyzbyty trosk materialnych i z rzadka nawiedzany przez skrupuły moralne, nekany jest systematycznie powracającą falą niepokoju. Dostarcza go jedyny syn, kontestator, członek komuny i zwolennik poglądów skodyfikowanych w „czerwonej książeczce”, następnie zaś bohater ugrupowania Baader-Meinhof. Nie chodzą

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

KONTESTACJA, SZTUKA I SEX

tu o proste zderzenie pokoleń, o zwykłą relację ojciec — syn; o specyfice tego konfliktu rozstrzyga przede wszystkim kompromis, na jaki zdecydował się ojciec, a z jakim Ernest nie zechce się pogodzić. Otóż dzisiejszy wzięty adwokat z Koblencku — to dziecko robotniczych przedmieść Berlina, członek Czerwonego Frontu, więzień obozów koncentracyjnych. Miarą jego ewolucji jest fakt, iż bez chwili wahania broni przed sądem przestępstw wojennych, zmierzając (takie ambicje) zawodowe i własny, prywatny rozrachunek z przeszłością) do pełnego ich uniewinnienia bez względu na rozmiar i wagę przestępstw. Ma to stanowić wyraz moralnej wyższości ofiary nad katem, jakiegoś wszechzrozumienia i wszechwybaczenia, jakkolwiek Ernest w momentach utarek słownych twierdzi, iż jest to jedynie kontynuacją masochistycznego związku ofiary z przesiadawcą, z jakiego ofiara nie jest w stanie wyzwolić się.

Oskarżając adwokata z Koblencku o wygodnictwo życiowe nie można postawić go w stan oskarżenia za brak myślenia. Ten człowiek myśli, choć intelektualista z pewnością nie jest. I to nie tylko dlatego, że najczęściej czytuje ilustrowane tygodniki. Myśleniu jego brakuje konsekwencji, określonego kierunku, jest to „praktyczne myślenie prawnika nastawionego na doradztwo, szybko sprawdzalny sukces. Zbyt wiele bowiem w jego poglądach pokutuje obiegowych sądów, legendarnie niemal symboliki (i to nie tylko ze starogermanskich mitów), choć przecież nie są mu obce znane nazwiska współczesnych filozofów czy socjologów. Prawie każdą pogłębiającą myśl zabija relatywizm, z drugiej zaś strony pragmatyzm. Dlatego już nawet nie z pobłażliwością, ale najczęściej ze zdziwieniem przypatruje się starszy pan kontestacji: „Ci dzisiejsi gniewni? O co właściwie walczą? Jaki nowy ład pragnęliby zaprowadzić? Chyba sami dobrze nie wiedzą”. Wykazuje wszak dużo dobrej woli — dyskutuje

z tymi, którzy chcą na gruzach tego zbudowanego dobrze technicznie, ale na niesprawiedliwości opartego świata, zaprowadzić Nowy Ład, stworzyć Trzeci Świat Wiecznego Trwania, Trzecie Królestwo. Czy jednak są środkami do zaprowadzenia takiego ładu manifestacje, na których najładniejsze dziewczyny niosą transparent z napisem: „W trakcie miłosnego spazmu myślę zawsze o meczemście Lwa Trockiego”? Czy przybliży ów nowy porządek bezładne życie w hipiesowskiej komunie? Czy stanowi panaceum uniwersalne słowo „Scheisse”?

Były bojownik Czerwonego Frontu swą dzisiejszą bezradność pokrywa manifestacyjnym wręcz trwaniem po stronie ustalonego porządku. A przecież wie, że za potępianymi przejawami anarchizmu kryje się także coś głębszego niż nihilizm. Zaaprobowanie przezeń i przez jego pokolenie materialnego powodzenia oraz wy-

krećcia supergigantycznego filmu, przy pomocy którego Reżyser i finansujący jego poczynania Menadżer zamierzają przewrócić istniejący porządek społeczny. W tym też momencie następuje nierozwalnie sprzężenie dwu istotnych problemów: roli sztuki (ograniczonej w powieści w zasadzie do ekspansywnej sztuki filmowej) we współczesnym społeczeństwie burżuazyjnym oraz działań bogatego Menadżera-kontestatora, tropionego przez policję animatora lewackich bojówek. Sprawy filmu pojawiają się nieprzypadkowo — kinematografia włoska cieszy się wszak od lat ustaloną opinią, sam film zaś chyba dokładniej od innych rodzajów sztuki przekazuje całą skomplikowaną sytuację dzisiejszego świata. W wyrażeniu skróconej sylwetki Reżysera-Wielkiego Chana-Ederiga dopatrywali się krytycy rysów głównie Feliniego, ale bardziej nęcące wydaje się pójście tropem Pier Paolo Pasoliniego, którego niedawna tragiczna śmierć potwierdziła najdobitniej obsesję twórcy Kabacę. Znalazły się przecież w „Patrycji...” fragmenty wypowiedzi Pasoliniego, a uzupełnienie i przedłużenie ich niejako przyniósł jeden z ostatnich numerów „Literatury na świecie” (właśnie w tłumaczeniu Kabacę).

„Patrycja czyli o miłości i sztuce w środku nocy” — to powieść polityczna w sensie odsłaniania mechanizmów różnych działań, spośród których najpoważniejszy charakter posiadają wysiłki ideologa anarchizmu, marzącego o rewolucji na Sardynii i desancie w rządowaniu przez Pinocheta Chile. Ale owo mówienie o sprawach politycznych nabiera często pasywnego odcienia, gdyż — jak zauważył jeden z krytyków — cała działalność lewacka nie odbywa się tu w powoływanych wymiarach politycznych, a tylko w śmiertelnie poważnym nastroju.

„Nie ma życia bez polityki” — oświadczył w wywiadzie Kuśniewicz. I dodajmy: bez seksu, podobnie jak bez jednego i drugiego nie byłoby „Trzeciego królestwa” i „Patrycji...”. W książce Kuśniewicza seks nie przybliża jednak Nowego Ładu, bo przecież o wiele bardziej daje się odczuć ojcu niż synowi. To starszy pan właśnie opętany jest obsesjami erotycznymi i zbliżając się do nieumkniętego finału stara się skomunować jak najwięcej seksoprowiantu. Inna sprawa, że „Psychopatologia seksualna” zajmuje naczelną rolę w jego bibliotece i echa tej lektury powracają niejednokrotnie w relacji bohatera-narratora. Także krejony w dusznej atmosferze kulturalnej i obyczajowej film Ederiga i Enriqueza może mieć jako tło czółwki tylko następujące ujęcie: „Mam pomysły. No? Nabrzmiaty koniec pensja wystaje ze sromu od wewnątrz. Od wewnątrz? Jak chcesz to zrobić? Zwyczajnie. Na przebitkę — wyjaśnia rzeczowo Giuliana”. Tak więc tradycyjna erotyka wymieszana się w obu powieściach z czymś, co zwykło się ostatnio określać literaturą seksu.

Przedstawione powyżej utwory zdobyły uznanie zarówno krytyki literackiej — mówiono o nich jako o „książkach roku”, jak i czytelników — dwudziestotysięczne nakłady szybko zniknęły z półek księgarskich i obecnie przygotowywane jest drugie wydanie. Wystarczająco to dowód pisarskiego sukcesu.

A. Kuśniewicz, Trzecie królestwo. PIW, Warszawa 1975, cena zł 45 —. E. Kabacę, Patrycja czyli o miłości i sztuce w środku nocy, PIW, Warszawa 1975, cena zł 25 —.

Podobnie jak w książce Kuśniewicza fabuła pełni tu rolę bardzo skromną, niekiedy pretekstową zgola, oscyluje wokół na-

krajem wsi. Życie miejskie, które zaczęło się kształtować dopiero w naszym stuleciu, obecnie doszło w pełni do głosu. Daje się to zresztą zauważyć i w samym pisarstwie twórców litewskich. Po tematykę miejską sięgają noweli pokoleń młodszych, pisarze urodzeni już w dwudziestolecie międzywojennym. Ale też ich opowiadania i nowele tematycznie są o wiele ciekawsze, bardziej oryginalne. U niektórych, jak np. Romualdas Lankauskas czy Sauliusa Saltenisa widać wyraźne wpływy literatury amerykańskiej, spod znaku Londona i Hemingwaya. U pisarzy tych bowiem daje się zauważyć rezygnację z czystego zewnętrzny opisu wydarzeń na rzecz pobieżnej psychologizacji postaci bohaterów. Szczególnie ostro występuje to w „Pasiastym trolejbusie” Lankauskasa czy w „Kobiecie” Rimkevičiausa.

Na pewno autor Antologii Zygmunta Stoberskiego, równocześnie i współtłumacz całości, dokonując doboru autorów, pragnął zaprezentować najszerszy wachlarz nie tylko liczących się nazwisk, ale co ważniejsze poruszanej tematyki oraz form artystycznych. Ale stąd właśnie wynika przewaga wiejskiej problematyki, życia rustykalnego. Inna sprawa, że to życie na wsi przedstawiane jest od strony bytowania ludzi najbardziej, że większość z tych nowel można by zaliczyć do „obrazków z lat głodowych” (np. „Dziewczyna i samotny człowiek”, „Ten brzeg i tamten brzeg”, „Srebrny pieniądz”). Lecz są też opowiadania o ludzkich namiętnościach będących motorem działania bohaterów i przyczyną skłócenia ze środowiskiem

(„Walusi potrzebny Oleś”, „Śmierć Padaigisa”). Mimo dużej różnicy pokoleniowej prezentowanych pisarzy jak i samej tematyki, wspólni dla tego pisarstwa jest swolsty zanik poczucia czasu. Bohaterowie opowiadań nigdy się nie spieszą, nieszczęścia, które ich spotykają nie spadają nagle, ale stopniowo, żyjąc niejako w swojej symbiozie ze swoimi ofiarami. Ten zanik poczucia czasu wyraża się również i w tym, że opisywane wydarzenia również dobrze mogłyby się rozgrywać przed stu jak i pięćdziesiątą, a w kilku wypadkach nawet przed kilkoma laty. I tylko drobne realia mówią nam o konkretnym czasie rozgrywanej się akcji opowiadania.

A jednak mimo tej monotematyczności, mimo łatwo zauważalnych zapożyczeń z innych literatur, jest w tych nowelach i opowiadaniach zawarty specyficzny klimat wyodrębniający je z literatury pokrewnych. Jest to ten klimat, który zawsze towarzyszy społeczeństwu posiadającemu własny język, własne tradycje kulturowe. Te tradycje, które naród litewski zachował i przekazywał z pokolenia na pokolenie przez ponad sześćset lat, i dobrze się stało, że Zygmunta Stoberskiego, znawca i tłumacza tej literatury zaprezentował ją nam w jej jak najbardziej współczesnym obrazie. Gdyż dopiero poprzez tę Antologię możemy zobaczyć, ile nas z tą literaturą łączy, a równocześnie ile nas od niej dzieli.

Kobieta i inne nowele litewskie. Wybrał, wstępem i notami opatrzył Zygmunta Stoberski. Z litewskiego przetłumaczył Anasztazja i Zygmunta Stoberski. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973, ss. 271.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ NOWELI LITEWSKIEJ

Przed pięciu laty Leopold Lewin i Zygmunta Stoberski opracowali antologię współczesnej prozy litewskiej — „Pieśni i gwiazdy”. Antologia ta jednakże stanowiła zaledwie drobny wycinek nie tylko samej prozy tego narodu, ale również całej literatury litewskiej. A przecież jedną z bardziej liczących się w tej literaturze jest nowelistyka, tradycjami głęboko sięgająca w wiek dziewiętnasty, w okres literatury pozytywistycznej. Tam podobno należy szukać jej początków, kształtowania się tych wszystkich jej elementów tematycznych i artystycznych, które stanowią główny nurt współczesnego pisarstwa nowelistycznego na Litwie. Wielu bowiem współczesnych nowelistów litewskich świadomie nawiązuje w swoim pisarstwie do realistycznej nowelistyki ubiegłego stulecia, czerpiąc wzorce nie tylko z rodzimego pisarstwa, ale i z ówczesmu najbliższych — polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego.

Stąd zapewne, kiedy sięgnęliśmy po „Kobieta i inne nowele litewskie”, odnajdziemy w nich jednakże wiele wspólnego z rodzimą nowelistiką spod znaku Orzeszkowej, Konopnickiej, Żeromskiego, Dygasińskiego. Lecz nie szukajmy w tej antologii analogii, zapożyczeń, naśladowstwa formy czy

treści. Starajmy się raczej doszukiwać różnic wynikających z odmienności kulturowych, odmienności losów naszych narodów. Z całą pewnością nie jest to łatwe, jeśli się zważy, że przecież przez całe stulecie te dwa narody miały wspólną historię, wchodząc w skład jednego państwa. Pamiętać przy tym jeszcze należy, że odwołanie literatury litewskiej, które rozpoczęło się od prozy, miało miejsce dopiero w XVIII stuleciu.

Dlatego też potraktujemy jako swolsty dokument literackiej epoki opowiadanie Antanasia Vienoullisa „Do Brazylji”, który stanowi prototypowe przetransponowanie treści zawartych w „Panu Balcerze w Brazylji” Konopnickiej. Tyle tylko, że w swej skróconej i ograniczonej się do widzenia sprawie od strony początków emigracyjnego szlaku, bardziej ostre i dramatyczne. Następne bowiem opowiadanie tego pisarza „Helena najmitka” mimo całego rozgadania, wymyka się z czysto pozytywistycznych ram widzenia niedoli wiejskiego bytowania.

To wiejskie bytowanie, pokazujące wsi na co dzień, stanowił trzon litewskiej nowelistyki zawartej w Antologii. Lecz wynika to chyba z faktu, że przecież Litwa jeszcze do niedawna była głównie krajem rolniczym, była

ŚWIAT POLITYKA WYDARZENIA KOMENTARZE

U PRZYJACIOŁ

Od czterdziestu lat działa w Moskwie Instytut Literary im. Gorkiego. Jest to wyższa uczelnia o wyjątkowym charakterze. Każdego roku jej progi przekraczają młodzi ludzie pochodzący z różnych miast, republik i okręgów Związku Radzieckiego. Studenci Instytutu w toku nauczania poznają także dyscyplinę jak historia literatury rosyjskiej, radzieckiej i literatury obcych, językoznawstwo, nauki społeczne itp. oraz uczestniczą w seminariach twórczych prowadzonych przez znanych pisarzy.

A oto co o tej zasłużonej dla kultury Kraju Rad uczelni i sytuacji młodej literatury mówią: rektor II, student II, dziennikarz i wydawca.

WŁADIMIR PIMENOW (rektor Instytutu Literary) Instytut nasz wcale nie „kształci” pisarzy. Jest to po prostu niemożliwe, bowiem pisarzem trzeba się urodzić. Podobnie jest z talentem. Ale trzeba i można pomóc ludziom utalentowanym w opanowaniu tajników warsztatu literackiego i zdobyciu wykształcenia filologicznego. Dlatego właśnie wykładowcami w II są wybitni pisarze, jak np. Konstanty Simonow, Włodzimierz Tendriakow, Wiktor Rozow... Prace dyplomowe studentów to wydane drukiem tomy prozy, wierszy, zbiory opowiadań lub artykuły krytyczne w czasopiśmie, utwory dramatyczne, które będą wystawiane w teatrach... Wydajemy własny almanach „Twerskiej Bulwar 25” (nazwa wzięta od nazwy miejsca gdzie mieści się II), w którym drukowane są najciekawsze utwory studentów. Wiele czasopiśmie chętnie przedrukowuje prace pomieszczone w almanachu.

GIENNADJ KOSYMIN (student V roku). Na pierwszym seminarium kolejno czytaliśmy swoje wiersze. Potem Lew Oszanin, który prowadził zajęcia, powiedział o mnie: „przyszedł do nas ciekawy poeta”. Podkręcałem się z dumy. Wkrótce jednak poddałem moje wiersze szeregowej analizie. Krytyka kolegów była tak ostra, że chciałem uciec z Instytutu. Teraz jestem wdzięczny za tę sprawiedliwą i rzetelną krytykę. Nie wiem czy zostanę wielkim poetą, czy tylko przeciętnym. Wiem jednak, że będę pisał w lasie wiersze.

WALENTIN OSIPOW (zastępca redaktora naczelnego czasopisma „Znamia”). Jeśli do redakcji czasopisma radzieckiego przychodzi ktoś zupełnie nie znany i przynosi swe wiersze, opowiadania czy powieści, to jedynym kryterium oceny jego utworu będzie jakość tego co zaproponuje. W ten sposób trafili do literatury np. Władimir Bogomolow czy Andriej Wozniesiński... Redakcje czasopism kładą młodych pisarzy do różnych zakątków Kraju Rad, aby zebrali tam materiały do swoich utworów. My opłacamy delegacje, dajemy zaliczki. Rzykujemy, bo nie wiemy co młodzi autorzy nam przyniosą, ale nawet jeśli na dziesięć zamówień otrzymamy 2-3 dobre publikacje, to i tak warto to robić, bo pomagamy młodym spróbować swych sił, poznać życie naszych współczesnych. A talent prędzej czy później dojdzie do głosu.

WALERIJ GANICZEW (dyrektor wydawnictwa „Molodaja Gwardia”) Wydawnictwa młodzieżowe nie czekają dziś na to aż dobry rękopis trafi na biurko redaktora. Redaktorzy odwiedzają terenowe organizacje pisarzy, biorą udział w seminariach, czytają terenowe czasopisma literackie, właśnie po to, by odszukać talenty. Jest to jedna z form pracy naszego wydawnictwa, którego nakładem już od 25 lat ukazują się książki z serii „Młodzi pisarze”. W tej serii np. debiutował obecnie jeden z najpopularniejszych w ZSRR poetów Rasul Gamzatow. Młodzi pisarze, krytycy i literaturoznawcy mogą publikować również swoje teksty w almanachu „Rodniki” i w czasopiśmie „Junost”, „Masterskaja” i wielu innych.

Już z tych kilku przytoczonych wyżej wypowiedzi wynika, że w Związku Radzieckim istnieje cały system pomocy dla młodych pisarzy, począwszy od kół literackich przy redakcjach dzienników i czasopiśmie, klubów na wsi i w mieście itp., a skończywszy na wszechstronnych naradach młodych pisarzy, organizowanych regularnie przez Związek Pisarzy ZSRR. Pomoc ta nie oznacza jednak, że mistrzom i „narybkowi pisarskiemu” nie stawia się jednakowo dużych wymagań. Kryteria oceny wartości utworów literackich są niezależne od wieku i pozycji pisarza. Historia sztuki zna wiele przykładów pomocy mistrzów dla początkujących. W Związku Radzieckim troska o wychowanie młodego pokolenia pisarzy nabiera charakteru ogólnospołecznego.

Przez Hiszpanię przetaczają się, jedna po drugiej, burzliwe demonstracje i strajki, w których masy pracujące żądają wolności, praw demokratycznych i amnestii dla więźniów politycznych.

Niedawno powstała w Hiszpanii Demokratyczna Koordynacja, ruch który jednoczy podstawowe siły będące w opozycji wobec reżimu. Grupa ona 13 partii w tym komunistów, socjalistów, socjaldemokratów, komisje robotnicze i inne organizacje. Jest to duży sukces nurtów postępowych, umacniającej pozycje ogólnodemokratycznego ruchu mas ludowych w Hiszpanii.

Strajk powszechny w Kraju Basków, demonstracje w Katalonii, ludowe wystąpienia w Madrycie i Barcelonie, które odbyły się mimo wszelkich zakazów i aresztowań, wskazują na wyjątkowy charakter tego masowego ruchu sił opozycyjnych. Jest to już ogólne wzburzenie ogarniające najszersze warstwy społeczeństwa. Niemal każdego dnia pisze się o kolejnych demonstracjach strajkujących robotników, starciach z policją, aresztowaniach, brutalnym biciu demonstrantów, a nawet zabójstwach robotników.

Do dziś opinia publiczna pozostaje pod wrażeniem krwawej rozprawy policji, w marcu tego roku, z uczestnikami robotniczej demonstracji w mieście Vitoria, w Kraju Basków. Dlaczego doszło do tej haniebnej masakry? Czy była to zamierzona manifestacja siły organów władzy, a więc symptom dalszego rozwoju wydarzeń? Czy może tylko wina „słabych nerwów” jakiegoś podrzędnego oficera policji, który nie wytrzymał „napiecia”, lub w ogóle policji, która straciła kontrolę nad sytuacją?

Wersję o przypadkowym charakterze tego wydarzenia obala zapis rozmów radiowych prowadzonych między dowódcami oddziałów policji w czasie tłumienia demonstracji robotników w Vitorii, który trafił do rąk pewnego szwedzkiego dziennikarza. Z treści tego zapisu, opublikowanego na łamach sztokholmskiego dziennika „Dagens Nyheter”, wynika, iż akcja policji była kierowana z ośrodka dyspozycyjnego i przeprowadzona planowo.

A oto relacja szwedzkiego dziennikarza z wydarzeń w Vitorii.

„Środa, 3 marca 1976 roku. O 10-tej rano osiem tysięcy ludzi zbiera się na przedmieściu Vitorii. Stąd udadzą się oni do centrum miasta, żeby wyrazić poparcie sześciu tysiącom robotników — metalowców, strajkujących od 6 stycznia. Demonstranci zbierają się także w innych dzielnicach miasta. Komitet strajkowy podjął decyzję: strajk powszechny! Z tym apelem solidaryzują się nieomal wszyscy.

Oddziały policji przerzuca się z jednego przedmieścia do drugiego, żeby rozprędzić demonstrantów. W centrum Vitorii, największym mieście jednej z prowincji w Kraju Basków, raz po

raz wybuchają gwałtowne starcia z policją, która strzela do demonstrantów gumowymi pociskami i używa gazu łzawiącego. W odpowiedzi demonstranci, których zebrano się już ponad dwa tysiące, obrzucają policjantów kamieniami, zaczynają wznosić barykady na ulicach miasta.

W południe wydaje się, iż napięcie słabnie. Ludzie rozchodzą się do domów. Sklepy, restauracje i bary zostają zamknięte do następnego dnia. Jednakże pod wieczór duże grupy ludzi podążają w stronę kościoła św. Franciszka z Assyżu w robotniczej dzielnicy Zaramaga. Robotnicy zbierają się na dwudziestym pierwszym z kolei zebraniu, żeby znów rozważyć

„-3”: „Ale musisz dostać pozwolenie... Wiesz o co chodzi...” „Luis”: „Porozmawiam z szefem, dowiem się, co on o tym myśli...”

Centralna radiostacja policji przekazuje rozkaz skierowany do „Luisa”: „Jedź do punktu nr 10, weźmiesz stamtąd papiery zezwalające na akcję w kościele”.

„Luis” czuje jednak, iż sytuacja komplikuje się z minuty na minutę i posyła po papiery dowódcę innej podległej mu grupy — „X-3”. Sam jedzie w rejon kościoła i powiadamia szefa przez radio: „Otrzymałem informację o odbywającej się w pobliżu demonstracji. Jadę tam, aby ją rozprędzić”.

do was jeszcze jedna grupa policji. Jak tylko znajdzie się na miejscu...” „X-2”: „Przysyłajcie natychmiast pomoc, inaczej... Sami nie damy rady, będziemy się musieli wynieść... Na pewno nie obejdzie się bez użycia broni”.

Centrala do „X-2”: „Oczyszczajcie kościół bez żadnego gadania...”

„X-2” przestraszonym głosem: „Wchodziliśmy do wewnątrz. Sprawa wygląda źle. Ich nie można wyrzucić. Kościół jest bardzo zatłoczony, ludzie stoją także przy wejściu, do wewnątrz”. Centrala: „Wyrzućcie, używając gazu łzawiącego. Wyganiajcie bez pardonu!”

Policjanci wybijają szyby i wrzucają do kościoła kilkadziesiąt granatów z gazem łzawiącym i dymnym petard. Ludzie usiłują uciec od czadzących granatów, ale bezskutecznie: nie widzą, trudno oddychać. Wybuch paniki. Słychać krzyki. Lecą odłamki tłuczonego szkła: wybito jeszcze kilka szyb w kościele. Ale zamiast świeżego powietrza do kościoła znów wpadają granaty z gazem łzawiącym. Cztery tysiące ludzi rzuca się do wyjścia, powstaje nieopisany tumult. Cisną się, tłoczą, depczą w panice tych, którzy upadli... Wrota kościoła otwierają się na oścież, ale na zewnątrz stoją policjanci z automatami w rękach.

Na tych, co są już przy wyjściu, napiera z tyłu ogromny tłum ludzi o-garniętych paniką. Z kościoła buchają kłęby dymu i ludzie myślą, że policja chce spalić kościół wraz ze znajdującymi się tam robotnikami.

I teraz rozlegają się pierwsze wystrzały z broni automatycznej. Ludzie osłepieni łzawiącym gazem rzucają się we wszystkie strony, chroniąc się od kul. Demonstranci obrzucają policję kamieniami i rozbiegają się we wszystkie strony. U wrót kościoła kałuże krwi, nieopisany chaos, policja strzela na chybił trafił.

„W-3” (grupa posiłkowa ściągająca z Valladolid) wzywa centralę: „Znajdujemy się... (dalej niezrozumiale). Są ranni. Użyliśmy broni. Jesteśmy otoczeni... Kościół św. Franciszka zniszczony. Natychmiast przysyłajcie posiłki. To prawdziwa katastrofa”.

„X-3” wzywa centralę: „Przysyłajcie ludzi. Wyrzuciliśmy już ponad 3.000 pocisków”.

Centrala: „Do kogo wystrzelaliście — w powietrze, czy...?”

„Luis-3”: „Tu trwa prawdziwa wojna. Kofczy nam się amunicja. Wokół całkowity chaos...”

„Luis” wzywa centralę: „Leje się krew...”

W końcu zadanie wykonano, kościół oczyszczono. Cała operacja nie trwała dłużej niż 20 minut. Policja zaczyna bilansować rozchód amunicji. A tymczasem samochody pogotowia ratunkowego i auta prywatne przewożą rannych do szpitali...

Komitet strajkowy ogłasza liczby ponurej statystyki: czterech młodych robotników zabitych, ponad sto osób rannych, w tym pięćdziesiąt od kul karabinowych. Cztery dni po tych wydarzeniach zmarł w szpitalu jeden z rannych — pięć śmiertelnych ofiar policyjnego terronu”.

JERZY CZECH

Wydarzenia w Vitorii

„X-2” WCHODZI DO AKCJI...

swoje żądania i zamierzenia. Są zdecydowani walczyć o podwyższenie zarobków, skrócenie dnia pracy, przedłużenie płatnych urlopów, wypłaty zasiłku chorobowego, powrotu do pracy towarzyszy zwolnionych w czasie trwania strajku.

Około 5-tej po południu kościół jest zatłoczony. Zebrano się w nim ponad 4 tysiące robotników. Wokół kościoła — duże grupy robotników i studentów.

W jeepach i autach ciężarowych przyjeżdżają oddziały policji. Są to pomocnicze siły porządkowe, coś w rodzaju policji wojskowej. Około 70 ludzi uzbrojonych w broń automatyczną, ręczne karabiny maszynowe i granatniki do miotania granatów z gazem łzawiącym. Dowódcą tej grupy — jego znak wywoławczy „Luis-3” — wzywa „Luisa”, dowódcę operacyjnych oddziałów policji. Pyta, co powinien zrobić. Odpowiedź: „Rozprędać ludzi gdzie się tylko da!” „Luis-

W rejonie kościoła znajdują się też, poza oddziałem „Luis-3”, także dwie inne grupy policyjne: „X-2” i „X-3”. Ogółem przyjechało tutaj 15 jeepów i trzy duże samochody policyjne — w sumie około 200 policjantów.

Centrala wzywa „Luisa”: „Zezwolenie na oczyszczenie kościoła otrzymano. Jedź tam z ludźmi i od razu przystępuj do akcji”.

W mieście pojawiają się oddziały pomocnicze, sprowadzone z sąsiednich miast. W eterze słychać krzyżujące się pytania: „Dokąd mamy jechać?” Wszystkich kieruje się w pobliże kościoła. Trzech policjantów wchodzi do wnętrza. W rękach trzymają „flagi zawieszania broni” — biały chusteczki do nosa. Chcą wiedzieć, co się dzieje w kościele.

„X-2” powiadamia centralę: „Oni nie chcą wyjść dobrowolnie. Księża nie ma. Co robisz?”

Centrala: „Wykonaj rozkaz. Jedźcie

■ Zjednoczenie Wietnamu ■ Ofensywa Indiry Gandhi ■ Zza chińskiego muru

Niedzielne wybory równocześnie w Demokratycznej Republice Wietnamu i Wietnamie Południowym zapoczątkowały nowy etap w historii tego kraju — etap zjednoczenia. Oto wyłonione zostało wspólne Zgromadzenie Narodowe, składające się z 492 deputowanych. Zasada wyboru, jaką przyjęto (jeden deputowany na 100 tys. mieszkańców), daje przewagę liczebną przedstawicielom Północy, ale dla odmiany Sajgon ma większą reprezentację niż Hanoi. Tak więc oba dotychczasowe państwa wietnamskie potraktowane zostały jednakowo.

Zadaniem wybranego Zgromadzenia będzie podjęcie decyzji w sprawie jednolitej struktury państwowej, wyłonienie rządu, ustalenie jego linii politycznej, opracowanie konstytucji oraz zatwierdzenie symboli państwowych.

Przygotowania do zjednoczenia dwóch państw o różnym przeciętnej sile społecznych i politycznych rozpoczęły się tuż po wywołaniu południa. Pierwszymi jego etapami było łączenie rozdzielonych rodzin, przywracanie łączności pocztowej i drogowej, przystąpienie do odbudowy niemal całkowicie zniszczonej linii kolejowej między Hanoi a Sajgonem. Nieco później utworzone nowe prowincje i zapoczątkowano prace nad kształtem planu pięciolet-

niego 1976-80. Projekt ma być przedstawiony właśnie wybranemu Zgromadzeniu Narodowemu, które po dyskusji nada mu moc obowiązującą.

Równocześnie na Południu trwała re- edukacja zwolenników dawnego reżimu — żołnierzy armii Thieu, pracowników administracji. Oczywiście, nie wszyscy jej się poddali lub też wyciągnęli z tej kampanii uświadamiającej właściwe wnioski. Inaczej mówiąc — na południu nie brak przeciwników zjednoczenia, ale są oni zdecydowanie w mniejszości i ich opinie, czy nawet próby zakłóceń procesów zjednoczeniowych nie mogą wpłynąć na bieg wydarzeń. Tak więc organiczne połączenie dwóch do niedawna państw na naszych oczach staje się faktem, a 25 kwietnia — dzień wyborów Zgromadzenia Narodowego — będzie na pewno datą graniczną w dziejach Wietnamu.

Przełamy się teraz na subkontynt indyjski, aby odnotować szeroko ofensywę dyplomatyczną Indiry Gandhi. Faktami, uzasadniającymi stwierdzenie o ofensywie, są: podpisanie porozumienia z rządem Sri Lanka (dawniej Cejlonu) na temat wytyczenia granicy morskiej, parafowanie układu z Birma, ustalającego wspólną granicę, wysunięcie propozycji pod adresem Pakistanu, aby wznowiono dwustronne rozmo-

wy i na tej drodze rozstrzygnięto spory oraz podniesienie do rangi ambasady przedstawicielstw: indyjskiego w Pekinie i chińskiego w Delhi. Zwłaszcza ta ostatnia decyzja Indiry Gandhi odbiła się szerokim echem w całym świecie. Przypomina się, że Indie odwołały swego ambasadora w Pekinie w 1961 roku i że powodem tego były powtarzające się konflikty graniczne. Obecny krok oznacza znormalizowanie stosunków. Jak widać, Delhi dąży do poprawy swych kontaktów z wszystkimi sąsiadami i ustabilizowania sytuacji w tym rejonie świata.

Duże znaczenie przywiązuje się także do zapowiedzianej na czerwiec wizyty Indiry Gandhi w Związku Radzieckim. Oczekuje się, że w jej wyniku tradycyjnie już dobre stosunki Indii z ZSRR ulegną dalszemu rozszerzeniu.

Przy okazji warto odnotować, że również dużą aktywność rząd pani Gandhi wykazuje w sprawach wewnętrznych. Trwający stan wyjątkowy wykorzystuje się do uporządkowania wielu spraw i pewnego przemodelowania państwa.

W naszej azjatyckiej wędrowce zatrzymajmy się jeszcze w Chinach. W ostatnich dniach nowy premier pekińskiego rządu — Hua Kuo-feng w swym pierwszym wystąpieniu uchylił nieco rąbka tajemnicy na temat niedawnych wydarzeń. I tak dowiadujemy się, że: usunięcie z życia publicznego Teng Siao-pinga nastąpiło z inicjatywy samego przewodniczącego Mao i pod jego „aktywnym kierownictwem”, walka przeciwko temu „renegatowi i rewizjonistom” będzie doprowadzona do końca, gdyż jest to „poważna walka klasowa”, mająca na celu przekreślenie linii kontrrewolucyjnej, linia ta miała na celu odwrócenie rezultatów rewolucji

kulturalnej, podczas gdy jej rezultaty będą z jeszcze większym zapalem pogłębiane. Hua Kuo-feng polemizował również z tymi, którzy twierdzą iż „upolitycznienie narodu” może szkodzić gospodarce krajowej oraz zapowiedział kontynuowanie linii przewodniczącego Mao w polityce zagranicznej. Praktycznie oznacza to — co zresztą potwierdziła agencja SINCWA — że Chiny nadal przeciwstawiać się będą odprężeniu, ponieważ jest ono szkodliwe. Wreszcie nowy premier powiedział, że Mao Tse-tung, mimo podeszłego wieku, sam kieruje polityką i odgrywa w niej główną rolę.

Z innych źródeł chińskich wynika, że w całym kraju trwa kampania krytyki Teng Siao-pinga i jego zwolenników. Zaczynają już padać nazwiska ludzi, którzy do tych zwolenników są zaliczani. Walka zatacza więc coraz szersze kręgi i z pewnością zakończy się na tym etapie licznymi zmianami personalnymi w prowincjach.

Wszystko to razem upewnia nas w sądzie, wyrażonym na tym miejscu przed dwoma tygodniami, że mamy do czynienia z rozgrywkami między różnymi ugrupowaniami maistowskimi, a ich stawką jest władza. To, że dziś człowiekiem nr 2 jest Hua Kuo-feng nie przesądza jeszcze o sukcesach po Mao i nie kończy walki. Ciekawe jest tylko, kiedy rozegra się jej następny akt.

W. ŚLAWSKI

Inauguracja Roku Bibliotek i Czytelnic-
stwa odbyła się 29 stycznia 1976 roku we
Wrocławiu, ale w prasie łódzkiej niewiele
jeszcze ukazuje się materiałów na ten te-
mat. Warto więc podzielić się niektórymi
obserwacjami bibliotekarzy.

Ogólna charakterystyka czytelnictwa w
Łodzi wykazuje cechy typowe, ale także
i w pewnym zakresie specyficzne. Struktura
zaawansowana czytelników dorosłych w bi-
bliotekach publicznych Łodzi odznaczała
się przez długie lata wysokim odsetkiem
robotników — dochodzącym do 30 proc. (w
roku 1973 — 22,54 proc.). Ostatni okres
przynosi przewagę młodzieży uczącej się i
studiującej (od 54 proc. do 42,3 proc.). Jed-
nocześnie wzrasta ilość czytelników —
emerytów.

Średnia aktywności czytelniczej prera-
stała często wskaźniki krajowe. Nie wy-
klucza to faktu, że, tak jak wszędzie, czy-
telniczkowie wypożyczają dużo i systema-
tycznie jest najmniej. Są to głównie od-
biornicy beletrystyki. Łódzki czytelnik
przoduje bowiem w wykorzystywaniu pi-
śmiennictwa popularno-naukowego i rocz-
ników czasopiśmiennych. Bogate księgozbiory bibliotek
publicznych, coraz bardziej racjonalna
i planowa praca informacyjno-propagandowa,
rozbudzone zainteresowania powodują,
iż wypożyczanie książek niebeletrysty-
cznych osiąga w ciągu ostatnich lat od 27
do 29,5 proc. Tym niemniej supremacja be-
letrystyki jest sprawą oczywistą. Czytelni-
ctwo determinuje i określa wiek, wykształ-
cenie i środowisko czytelników, a także
pleć (np. kobiety w większym stopniu niż
mężczyźni interesują się wyłącznie po-
wieściami).

Właściwy dobór lektury ułatwia w biblio-
tekach wolny dostęp do półek, możliwość
przekartkowania różnych pozycji, wysta-
wy, przeglądy bibliograficzne, poradnictwo
bibliotekarzy, katalogi i kartoteki, spotka-
nia z pisarzami i inne imprezy. Jednakże
zarówno młodzi jak i starzy, którzy po
dłuższej przerwie odnawiają kontakt z
książką, wykazują wiele bezradności i wy-
magają pomocy ze strony bibliotekarzy.
Wielu czytelników poszukuje w literaturze
pięknej, obok waleńców rozrywkowych, za-
pokojenia potrzeb wyobraźni i wartości
artystycznych i poznawczych. Biblioteka-
rzy przeciwstawiają się tendencjom do ko-
rzystania wyłącznie z książki rozrywkowo-
wypoczynkowej. Proponują utwory war-
tościowe o bogatych ideowych treściach.
Ich wyniki odnajdujemy częściowo w ze-
stawieniach najpoczytniejszych tytułów.

Dokumentacja biblioteczna daje jednak
świadectwo, iż najbardziej poczytne są
książki zareklamowane przez film i te-
lewizję, objęte tradycją czytelników pokoleń,
lub te, które trafiły w typowe gusty czy-
telniczków, w ich zapotrzebowania tematyczne.
Bestsellery ściśle lokalny pojawiają się o
wiele rzadziej, niż bestsellery, którego po-
пулярność jednocześnie notuje większość
bibliotek polskich. Stosunkowo poważna
część czytelników, wybierając lekturę, nie
poszukuje ani autora, ani wartości ideolo-
gicznych czy artystycznych, nie obchodzi
ich też czas powstania utworu, ale wy-
łącznie temat, do którego, jak każda nie-
która, kluczem jest tytuł. Takim tematem
budzącym nieustannie zainteresowanie od
wielu lat jest II wojna światowa. Arcydzieła
dawnie wznoszą, zapalają wyobraźnię,
kształcą uczucia, ale dziesiątki tysięcy
czytelników coraz bardziej interesuje się
książką nową, pisarzami współczesnymi.
Maksymalna poczytność osiągają współ-
czesne powieści. Z drugiej jednak strony
bardzo dużą poczytność odznaczają się
niektóre książki podejmujące trudną pro-
blematykę, m. in. społeczną i polityczną,
wymagającą ogólnego przemyślenia, pew-
nego zasobu wiedzy przytłaczającego-filo-
zoficznego.

IZABELA NAGÓRSKA

„DODATEK ŚWIĄTECZNY”

Gratuluję „Dodatkowi Świątecznemu”. Było
co przeczytać. A poza tym bardzo wygod-
ny format. Czy nie mogłoby być zawsze
„wydawać się” w tym, ułatwiającej lek-
turę kształtce?

MAREK CYBART

(Łódź)

„ZEMSTA TESCOJOWEJ”

Ze szczególnym zainteresowaniem prze-
czytałem reportaż Konrada Turowskiego
„Zemsta Tescojowej”. Jestem pełen podzi-
wu dla reportera, który potrafił tak wnik-
liwie przedstawić głosną historię Numer
„Odgłosów” z tym reportażem był dosłow-
nie rozchwytywany w naszym biurze,
gdzie pracuję (dokładnie 45 osób — w tym
42 kobiety (również Tescojowej)). Na pod-
kreślenie zasługuję, że autor nie poszedł
na tak zwany tania sensację i dotarł do
prawdziwych źródeł konfliktu, którego
tylko zewnętrzna oznaka była scena sie-
kania iaskiel. Jeszcze raz wykorzysty-
ta słowa w nadziei, że najbliższe numery
Waszego coraz poczytniejszego tygodnika
jeszcze więcej będą publikować również
wnikliwych i ciekawie napisanych repor-
taży.

ALEKSANDER ZWIERZYŃSKI

ul. Armii Czerwonej 30

W imieniu własnym i swoich najbliż-
szych znajomych pragnę stanowczo zapro-
testować przeciwko podobnemu wywleka-
niu na światło dzienne historii rodzin-
nych jak to się stało w przypadku repor-
tażu Konrada Turowskiego „Zemsta Tesco-
wej”. Wezle bym się nie dziwił, gdyby
opisaną historię jeszcze raz wykorzysty-
ła swój takt i rzuciła się z nim na zaw-
sze jego odczyt i ewentualnych naśladow-
ców takich praktyk od grzebania się w
życie prywatnym. Jest tyle przecież rze-
czywiście elektrycznych spraw, które powin-
ny znaleźć odbicie na łamach prasy...

MORALIŚTA

(nazwisko i adres podaje do wiadomości
redakcji)

ŻYCIORYS



Foto: W. Parys

MAMY BOGATĄ
TRADYCJĘANTONI TEODORCZYK — działacz Towarzystwa Przyjaciół
Łodzi, zbieracz łódzkiego folkloru:

1. — Jak to się wszystko zaczęło?
Dlaczego zainteresowałem się łódzkim
folklorem? Aby odpowiedzieć na te
pytania muszę cofnąć się pamięcią
wstecz.

Był rok 1934. Do tego czasu pracowa-
łem w Zjednoczonych Zakładach
Przemysłowych, Spółka Akcyjna
Scheiblera i Grohmana. Ale w roku
1934 stałem się bezrobotnym. Często
mi się to zresztą zdarzało. Do pracy
u Scheiblera i Grohmana wracałem
jeszcze kilkakrotnie. Ale to już było
później.

Kiedy więc zostałem bez pracy, a
z natury jestem człowiekiem, który
lubi pracę, to szukałem sobie jakiegoś
zajęcia. Wtedy właśnie organizowano
kuchnie i świetlice dla bezrobotnych.
Ponieważ — jak już wspominałem —
nie lubię być bezczynny, zaangażowa-
łem się do tworzenia jednej z takich
świetlic dla bezrobotnych. U Schei-
blera i Grohmana pracowałem w
brigadzie budowlanej — jakbyśmy to
dziś powiedzieli. Znam się na sto-
larstwie i ciesielce. Pomagałem więc
przy urządzaniu takiej świetlicy na
Górnika.

Ale to mi nie wystarczyło. Świetli-
ca już była gotowa i trzeba było w
niej coś robić. Zająłem się zatem
organizacją — znów używając dzie-
siejszej terminologii — sekcji mu-
zycznej. Stworzyliśmy zespół, który
przeżywał w soboty na wieczorkach
tancecznych. A ponieważ niewiele
maliśmy do roboty przez cały ty-
dzień, więc nasz zespół muzyczny
chodził po mieście i zarabiał na życie.
Chodziliśmy — jak to się wówczas
nazywało — na hauserkę. To znaczy
po prostu po podwórku. I tak zara-
biaaliśmy na życie. Okazało się jed-
nak, że musimy w taki sposób zara-
biać również na naszą świetlicę. A o-
kazalo się dlatego, że nam robotni-
kom nie bardzo odpowiadało kierow-
nictwo tej świetlicy. Nie reprezento-
wało ono naszych interesów, a był to
po prostu sposób na podporządkowa-
nie robotników interesom burżuazji.
Kiedy zaczęliśmy sprzeciwiać się kie-
rownictwu, odmówiono nam finanso-
wania i trzeba było stać się samo-
wystarczalnym. Nasz zespół musiał
zarobić na naszą świetlicę. A odby-
wały się w niej nie tylko wieczorki
tanceczne, organizowaliśmy odczyty,
spotkania, ciekawe dyskusje. Władze
nie na długo pozwoliły na naszą
działalność. Skoro nie można było za-
wiesić naszej działalności w sposób
legalny, zrobiono to inaczej. Po pro-
stu w nocy świetlicę zniszczono.

Tak właśnie zaczęło się moje zain-
teresowanie łódzkim folklorem.

2. — To nie był jedyny powód. Po
wojnie wielokrotnie organizowano
konkursy na folklor. Organizowało je
również Muzeum Archeologiczne i Etno-
graficzne w Łodzi. Ale o folklorze
miejskim jakoś zapomniano. Dopiero
w marcu 1972 roku ogłoszono w Ło-
dzi konkurs na folklor miejski. W
1973 roku odbył się w Łódzkim Domu
Kultury przegląd muzyki, tańca, pieś-
ni i poezji amatorskiej. Dla folkloru

łódzkiego przyszły lepsze czasy. Wte-
dy też zacząłem organizować zespoły
podwórkowe. Tak się je nazywa: orki-
estry podwórkowe, a jest to jedyna
— jak do dziś — forma na utrwalanie
i rozwijanie tego typu folkloru.

Pomogłem w tworzeniu tego typu
zespołów na Bałutach, Widzewie i
Górnej. Zespoły folklorystyczne powsta-
ły i działają przy domach kultury.
Moim marzeniem jest, aby każda
dzielnica miała swoje zespoły.

3. — Urodziłem się w Łodzi. Od
wielu lat mieszkam przy ulicy Po-
znańskiej. Najbardziej mi zależało na
tym, aby Górnik miał swój zespół
podwórkowy. Ale związały też byłem
z Widzewem, więc chciałem, aby i
Widzew miał taki swój zespół.

Widzew przed wojną zawsze otwie-
rał pochod pierwszomajowy. Młodzi
łódzianie, którzy urodzili się i wycho-
wali już po wojnie, nie wiedzą, jakie
to były pochody. Słży one ulicą
Piotrkowską do Konstancynowskiej —
dziś ulicy Obrońców Stalingradu — i
tą ulicą na Polesie Konstancynowskie.
Taki pochod uważnie pilnowano po-
licja, aby nie dostali się do niego ko-
muśnisi. Usiłowali je rozbijać bojów-
karze endecy. Na Polesiu Konstancynow-
skim silnie oddziały policji pie-
szy i konnej pilnowały, aby pochod
rozwiązał się i aby manifestanci nie
wracali grupami. Ale komunistom
zawsze udawało się dostać do takiego
pochodu i zamianstować swoją o-
becność.

Każda dzielnica w Łodzi miała kie-
dyś swoją odmiennosc. Dziś to się już
zacierza. Nowe osiedla wyrastają w
różnych rejonach miasta i ludzie
przenoszą się z jednego krańca mi-
asta na inny. Zacierają się dawne
związki, ginie po trosze stara trady-
cja. Ruch folklorystyczny ma szansę
utrwalenia przeszłości, zachowania
dla pamięci przyszłych pokoleń tej
specyficzności robotniczego miasta.
Innej przecież niż dziś.

4. — A więc jest jeszcze jeden
powód, dla którego zająłem się miejs-
kim folklorem. W Towarzystwie Przy-
jaciół Łodzi prowadzę sekcję folklo-
rystyczną. Na czym to polega?

Gromadzę materiały, prowadzę wli-
dencję ludzi, którzy znają stare pieś-
ni, dawne łódzkie obyczaje. Staram
się, aby to zostało zapisane, aby
przetrawało i nie poszło w zapomnie-
nie. Teraz, kiedy powstało Muzeum
Historii Miasta Łodzi, wszystko to
nabiera jeszcze większej wartości, bo
będzie mogło być lepiej i pełniej wy-
korzystane.

Jak my to robimy? Organizujemy
często koncerty kapel podwórkowych
— bo i tak nazywa się nasze zespoły
— a w przerwie takiego koncertu
zwracamy się do publiczności, czy
ktoś nie zaśpiewałby nam starej pie-
senki, nie przypomniał starej, łódz-
kiej melodii. Na nasze koncerty przy-
chodzą też ludzie starsi, którzy chcie-
liby sobie przy okazji przypomnieć
dawne czasy, pospominać o swojej
młodości. I wśród nich są tacy, któ-
rzy coś pamiętają i chętnie tym się
dzielą. Nawiązujemy kontakt z nimi
i staramy się, aby to, co pamiętają
zostało zapisane, aby przetrwało.

Jest na przykład na Dolku kobieta,
która — jak się okazało — znała aż
200 starych, łódzkich piosenek. Nie
ona jedna tylko, wielu ludzi przyno-
si nam stare pieśni. Są to wszy-
stko cenne materiały, choć nie zawi-
sze z wszystkiego możemy skorzystać.

Ale miałem mówić o tym trzecim
powodzie, dla którego zainteresowa-
łem się łódzkim folklorem. Otóż by-
łem z różnymi wycieczkami w innych
miastach. Każde z nich ma bogatą
i wielowiekową tradycję. Ma swoją
historię Kraków, ma Warszawa, To-
ruń, Gniezno i wiele innych nawet
całkiem małych polskich miast. A
czy takiej historii nie ma Łódź?

Niedawno obchodziliśmy 550 rocz-
nicę nadania Łodzi praw miejskich,
ale jednocześnie obchodziliśmy 150.
lecie Łodzi przemysłowej. Te 150 lat
w historii miasta liczą się najbar-
dziej. W porównaniu z wielowiekową
tradycją innych polskich miast nie
jest to dużo, ale przecież przez te 150
lat Łódź miasto przeszło swoje bu-
rzliwe dzieje. Zapisano się w historii
gospodarczej naszego kraju w histo-
rii walk rewolucyjnych. Te 150 lat
naszego miasta są niezwykle bogate
i byłoby niedobrze gdyby dla przy-
sztych pokoleń zaginęły ślady o tym,
co tu się działo, jak żyli nasi przod-
kowie, jakie mieli obyczaje i zwyczaje,
jakie śpiewali pieśni, jak się ba-
wili i smucili, jak walczyli o swoje
prawa. Trzeba troszczyć się o to, aby
zostało jak najbogatsze świadectwo
naszej przeszłości. I chciałbym do te-
go dzieła dołożyć swoją, małą cegieł-
kę. Chciałbym, aby też inni wiedzieli
o Łodzi jak najwięcej.

Myślę, że nasze miasto może też
być atrakcyjne dla turystów. A może
być atrakcyjne również poprzez
swoją jakże bogatą i różnorodną
przeszłość. Tylko trzeba jej świadec-
twa wydobyć z zakamarków pamięci,
utrwalić, przypomnieć i postarać się
o najlepszy sposób pokazania tego
innym. Orkiestry podwórkowe to tyl-
ko jeden ze sposobów.

5. — W piosence, prostej, bezpre-
sjonalnej, takiej jak ją czują lu-
dzie, też można wiele pokazać. Sam
napisałem między innymi balladę
„Nasza dawna młodość” oraz kole-
dę „Gdybyś się Jezuniu w Łodzi uro-
dził”.

Dlaczego kolede? Dawniej w robot-
niczych rodzinach śpiewano nie tylko
kolede religijne, ale też takie, w któ-
rych była mowa o robotniczych spra-
wach, a również takie, w których
swoją wyraz znajdowała walka robot-
ników. Kolede „Gdybyś się Jezuniu
w Łodzi urodził” napisałem na me-
lodie kolede kaszubskiej.

Chcemy jednak nie tylko utrwalac
w piosence dawne dzieje miasta, ale
też podejmować w niej również to,
co w naszym życiu nowego. Próbowa-
liśmy na przykład napisać piosenkę
o 100-leciu straży pożarnej w Łodzi.
Próbujemy opisywać i inne sprawy.
Różnie się to nam udaje.

Dlaczego różnie? Bo chcemy łączyc
przeszłość z teraźniejszością. Szukamy
kontynuacji między tym, co dawne
a tym, co nowe. To nie jest takie
proste.

6. — Kiedyś bardzo popularne były
w Łodzi „fajki”. Odbywały się one
w Zielone Świątki. Dziś powiedzieli-
byśmy, że był to wielki festyn robot-
niczy. Tego dnia zjeżdżali się do Ło-
dzi cyrkowcy, kramikarze, montowa-
no na Wodnym Ryнку karuzele,
strzelnice, różne beczki śmiechu i in-
ne uciészne urządzenia. W dniu tym
odbywał się konkurs na króla kurko-
wego. Strzelano do tarcz, a zwycięz-
ca ogłaszany był konsulem —
łódzkim królem kurkowym, który
królował do następnego konkursu.

Wiele tego dnia było uciechy, ra-
dości. Cała robotnicza Łódź ścigała
na Wodny Rynek i każdy wysypywał
zaoszczędzone grosze, aby wziąć
udział w tych uciechach. Wspomina-
nia było na cały rok. Wszyscy krama-
rze i wędrowni cyrkowcy pamiętali,
że w Zielone Świątki odbywa się w
Łodzi „fajka” i tłumnie tu ścigali.

Było to coś, co w swoim charakterze
miało cechy jarmarku, odpustu i fe-
stynu. Miało jednak niepowtarzalny,
robotniczy, łódzki charakter. Starzy
łódzianie pamiętają jeszcze „fajki”,
ale z czasem tradycja ta zamarła,
poszła w niepamięć.

Czy nie warto byłoby do niej po-
wrócić? Ma wprawdzie Łódź festyn
„Głos Robotniczego” organizowany
w czerwcu na Zdrowiu. Ma też „Jar-
mark Łódzki” — organizowany mniej
więcej w tym samym czasie przez
„Dziennik Popularny”. Ale obie im-
prezy — na pewno potrzebne miastu
— mają inny charakter. „Jarmark
Łódzki” jest imprezą w pewnym sen-
sie handlową, Festyn na Zdrowiu
„Głos Robotniczego” jest bardziej
współczesny w swoich treściach, bar-
dziej rozrywkowy. „Fajka” mogłaby
być nawiązaniem do tradycji kultury
robotniczej, przypomnieniem dawnego
obyczaju, próbą połączenia go z no-
wymi, nam już współczesnymi tre-
ściami i formami spędzania wolnego
czasu. Taki festyn można byłoby or-
ganizować w scenarii zabytkowego
przebież „Księży Młyn” i jego o-
kolicach. Nawet miejsce organizacji
współczesnej „fajki” nawiązywałoby
do tradycji.

7. — Wróć jeszcze do piosenek o
Łodzi. Moim zdaniem jest ich mało.
O innych miastach śpiewa się więcej.
Kapele podwórkowe ma Warszawa,
ma Gdańsk. Czasem pokazuje je tele-
wizja. Co takiej muzyki garną się też
młodzi. Czy nie warto więcej trosz-
czyć się o popularyzację łódzkich ka-
pel podwórkowych? Przecież dzięki
temu ludzie w Polsce więcej mogliby
dowiedzieć się o naszym mieście.

8. — Co mogę powiedzieć o sobie?
Mam 73 lata. Mam za sobą 40 lat
pracy zawodowej i wiele lat pracy
społecznej. Od 1965 roku jestem na
rencie. Od 1968 roku działam w To-
warzystwie Przyjaciół Łodzi. Ale nie
tylko. Nigdy nie stroniłem od pracy
społecznej. Ta praca daje mi wielkie
zadowolenie. Nie znoszę bezczynności.
Zawsze chciałem robić coś nowego,
współdziałać przy tworzeniu tego, co
nam niesie życie. Mimo moich 73 lat
nie czuję się jeszcze starym człowie-
kiem. Byłem w swoim życiu w róż-
nych sytuacjach — jak to się mówi
— na wozie i pod wozem. Poznałem
wielu różnych ludzi. Zawsze staram
się od nich czegoś nauczyć. Czy mi
się to udało? Mam nadzieję, że tak,
bo ciągle mi się wydaje, że wiele je-
szcze mógłbym zdziałać. I próbuję
tak postępować.

9. — Jestem łódzianinem i to cały
mój program życiowy. Wszystko, co
łódzkie nie może mi być obce. I nie
jest.

Zanotowała:
BOGDA MADEJ

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

PIEŚNI BLISKIE SERCU

Pieśń towarzyszyła naszym dziejom od samych początków. Kto wie, może to właśnie my mamy jedyny w świecie, unikalny skarb narodowych pieśni? Począwszy od „Bogurodzicy” — do współczesnych, choć już historycznych pieśni: „Marsz Pierwszego Korpusu” czy „Czerwone maki na Monte Cassino” — zawsze dziejom polskiego oręcza i dziejom narodu towarzyszyła pieśń.

Zbigniew Adriański świadom tego faktu postanowił opracować książeczkę o pieśniach bliższych sercom Polaków. Zamysł bardzo szczęśliwy okazał się w realizacji nader udany. Autor przypomina w swojej pracy teksty pieśni, ale stanowią one właściwie punkt wyjścia do spisanego — w sposób zajmujący i prosty — dziejów i postaci poetów, kompozytorów, żołnierzy i powstańców, patriotycznych i robotniczych działaczy, którzy pieśni te tworzyli.

Mogła się co prawda ta książeczka zaczynać pozycją klasyczną i niejako archiwalną: „Bogurodzicę”, ale to w końcu nie najważniejsze. Ważne, że Adriański zawarł w swojej książeczce dwadzieścia pięć szkiców o pio-

senkach i pieśniach, które, choć dziś historyczne, funkcjonują w narodowej świadomości.

Często jednak nie bardzo wiemy, kto był autorem, bo taki jest los pieśni, które stały się własnością społeczeństwa. O „Mazurku Dąbrowskiego” wiemy, że autorem słów jest Józef Wybicki, ale jest to przecież pieśń najpierwsza ze wszystkich polskich pieśni — nasz Hymn Narodowy. Ale inne?

Nawet słynne „Szumi dokoła las” — pieśń żołnierzy znad Oki — a więc pieśń stosunkowo młoda, przeszła swojego autora: Leona Pasternaka. Podobnie jest z „Marszem Pierwszego Korpusu” („Spoza gór i rzek...”), mało kto wie, że autorem słów jest Adam Ważyk, a kompozytorem Aleksander Barczak.

Osobną historią jest także słynna piosenka „Rozsumiali się wierzby płaczące”. Dopiero Tadeusz Szewera w swojej pomnikowej antologii „Niech wiatr ją poniesie...” rzecz całą wyjaśnił do końca — odnalazł autora słów, nauczyciela z Niska, Romana Ślęzaka, dotarł także do informacji, że melodia pochodzi jeszcze z pierwszej woj-

ny światowej, a jej kompozytorem jest W. Agapkin, kapelmistrz jednego z rosyjskich pułków piechoty.

Jako ciekawostkę podać warto, że do tej samej melodii, notabene bardzo popularnej wśród żołnierzy radzieckich, inne słowa napisał Leon Pasternak. Piosenka zaczynała się od słów „Każda noc jest po marszu za krótką...”, zdobyła i ona sporą popularność, ale nie wytrzymała konkurencji z pieśnią „Rozsumiali się wierzby płaczące...”, którą zna cała Polska do dziś.

Cofnijmy się jednak w czasie do końca XIX wieku. Twórcą pierwszej robotniczej, rewolucyjnej partii „Proletariat” Ludwik Waryński, jest także twórca wiersza „Mazur kajdaniarski”. W tym wypadku melodia oparta jest na starej piosence ludowej, podobnie jak melodia „Mazurka Dąbrowskiego”.

Mniej więcej w tym samym czasie powstaje „Czerwony sztandar” Bolesława Czerwieńskiego. Znany wszystkim ten słowo, napisano o nich w dawnej robotniczej ulotce: „Pieśń mieszcząca w sobie wszystkie bóle wydziedziczonych proletariuszy i wszystkie ich nadzieje...”

Dodajmy, że hymnem francuskich komunistów był też „Czerwony sztandar” („Drapeau rouge”), znany w Polsce jeszcze przed powstaniem tekstu Czer-

wieńskiego. Co do melodii istnieją dwie wersje. Według pierwszej jest to adaptacja francuskiego „Drapeau rouge”, według drugiej — melodia zapożyczona została z patriotycznej pieśni szwajcarskiej.

Takich wątpliwości nie ma w wypadku „Roty” („Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...”). Tekst napisała Maria Konopnicka w 1908 roku, melodia — wybitny kompozytor, Feliks Nowowiejski w 1910 roku. Prawykonanie odbyło się w czasie uroczystego odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, 15 lipca 1910 roku.

Można by tak wędrować tropami pieśni i piosenek przez karty książki Zbigniewa Adriańskiego. Ale po co? Książka jest dostępna, jej nakład ustalono na 20 tysięcy egzemplarzy, mam zresztą nadzieję, że ukaza się jej następne wydania. Książka zasługuje na to, aby stała się lekturą zwłaszcza młodzieży, choć nie tylko.

Przed paroma laty Zbigniew Adriański wydał bardzo nietudany zbiorek pieśni i piosenek, który krytykowałem wówczas na łamach „Literatury”. Cieszę się, że nowa książka Adriańskiego jest pozycją nie tylko potrzebną i cenną, ale pod każdym względem udaną.

WIDOK

LEWYM OKIEM

DUŃCZYCY I MY

Do rytuału ostatnich, kończących dzień zajęć należy jak wiadomo wystawienie za drzwi butelek na mleko. Stoją te butelki na wszystkich piętrach i czasem tylko narobią w nocy wielkiego rabanu, kiedy któryś z mieszkańców naszej klatki wraca pod muchą i potknięciem się gdzieś po ciemku, jako że automaty świetne nie działają. Nie działają też dzwonki od zewnętrznych drzwi sieni na dole, połączone z poszczególnymi mieszkaniami, ani tym bardziej automatyczne otwieranie drzwi na naciśnięcie guzika w mieszkaniu. To staroświeckie, znane długo przed wojną urządzenie nie ostanie się wobec dzisiejszych zabaw młodzieży podobno marginesowej ani tygodnia. Więc sieni jest otwarta zawsze, w ciemności klatki schodowej może wejść każdy kiedy chce i albo wpadnie tam na kogoś, albo nie wpadnie, a czasami potrąci tylko butelki.

Rano mamy na tych butelkach cały koncert. Roznosiciele nie ma czasu na delikatne obchodzenie się ze swoim towarem. Cisła z brzękiem puste flaszki do metalowych skrzynek, wystawia pełne z hukiem i animuszem, woła do żony z

piątego piętra na dół, żona mu odkrzykuje. Czasami są to okrzyki soczyste i wieloznaczne. Skrzynka ciągnięta po schodach hałasuje przeraźliwie. Po paru minutach wraca jednak na dom cisza, przerywana odgłosami seryjnego spuszczenia wody na wszystkich piętrach po kolei. Dzień się zaczął.

Czasem roznosiciele zostawią na mleku kartkę: jutro podwojnie. To bardzo uprzejme z jego strony. Jeżeli nie uprzedzi — następnego dnia rano rano drzwi do wszystkich drzwi na piętrze jednocześnie, energicznie i bez skrępowania. Zanim ktoś zdąży zerwać się z łóżka i dobiec do drzwi, dzwonek terkoce już ponownie, ze złością — bo co to jest, żeby ludzie spali, kiedy tu roznosiciele pracuje? I nie śpi! Trzeba mu natychmiast doręczyć drugą, dodatkową ilość pustych butelek za to podwojnie mleko. Jak się nie ma zapasu — należy szybko przelać świeżo otrzymane mleko do garneków, wypłukać butelki, oddać je i postuchać gorzkiej tyrawy na temat marnowania czasu pracującego człowieka.

Zdarza się też, że roznosiciele dzwoni i żąda butelek, chociaż

były wystawione. No tak, po prostu ktoś je gwizdnął. Głupia, groszowa, chamska i beznadsznie łatwa kradzież. Można ją uprawiać bezkarnie latami. Latami ginęły nam butelki i to co parę dni. Ostatnio przestały — widocznie sprawca dorósł albo przetruczył się na coś poważniejszego.

Nie rozumiałem do niedawna, jak to jest z tym podwojnym i potrójnym mlekiem, „za ubiegłą niedzielę”, „za jutrzejsze święto”, „za wolną sobotę”. Czyżby krowy dawały się doły na zapas? Albo wyrównowały niedobory wstecz? To się przecież dzieje w skali całych dzielnic, całych miast, to są setki, setki tysięcy litrów. Ale mi wytłumaczono, że istnieją takie zbiorniki retencyjne jak pod Różnowem, że są w tych zbiornikach zapasy mleka, odpowiednio ochłodzonego, które pozwalają manipulować dostawami i zmieniać je z dnia na dzień choćby i o sto procent. Odkał mi to wyjaśniono wiem już, że nigdy nie pijam mleka świeżego. Ze jest to świeżość retencyjna, z przymrużeniem oka.

Duńczycy piją jak wiadomo średnio półtora litra dziennie. My normalnie o połowę mniej, ale w dniu wyrównań „załogłości” czy też dostaw „załączkowych” mamy nagle w domu tyle mleka, że strach na to mar-

notrawstwo patrzeć. Już produkujemy własne twarożki, prasujemy sery, robimy maseczki ze śmietany. A następnego dnia pijemy jak dzień długi herbatę, czytając artykuły o Duńczykach.

Czasem mleko jest roznoszone później, kiedy ludzie już wychodzą do pracy, a dzieci do szkół. Cóż, nie ma na to rady. Stoją sobie pod niektórymi drzwiami po dwie — trzy tympowe flaszki z życiodajnym płynem, obwahiowane przez dziesiątki psów (wszyscy w mojej klatce — oprócz nas — mają już psy), potrącając nogami przechodniów. Pod wieczór w odnośnych kuchniach jest już tylko mleko zsiadłe, którego niemądry Anglik nie pija w ogóle, uważając je za mleko zepsute. Ale twarożek zawsze można zrobić: bierze się kawalek rogózki, zsywa spiczastą torbę, wlewa do niej zsiadłe mleko i wiesza na kranie nad zlewem.

Nie tu nie ma do wymiania ani do naprawienia. Piśże, żeby dać świadectwo naszym malutkim, codziennym sprawom. Przecież wiem, jak trudno o chętnych do roznoszenia mleka, mimo wysokich w tej branży zarobków: za wcześnie trzeba wstawać. Zachorujcie roznosiciele — i już statystykami!

CWIEK

PROPOZYCJE

PAPIEROWY TYGRYS

Był czas, kiedy można było sobie dowolnie używać na sposoby świadczenia usług ludności przez Miejskie Pralnie i Farbiarnie w Łodzi. Ten czas minął, bowiem to i owo w pralniach się zmieniło, chociaż jeszcze nadal trzeba czekać 18 dni na wypranie bielizny, a 15 dni — na wypranie koszul. Jak komuś bardzo się spieszy może prać ekspresowo, ale to zupełnie inna sprawa. Zdarza się jednak coraz częściej, że to nie pralnie spóźniają się z usługą, ale klienci spóźniają się z odbiorem upranej bielizny, która przed wyznaczonym nawet terminem dociera do punktów usługowych.

Miejskie Pralnie i Farbiarnie w Łodzi nie powieźdowały jeszcze swego ostatniego słowa, mijamy więc nadzieję, że będzie coraz mniej powołów do narzekania. Powieźdowały natomiast zupełnie nowe słowo w innej dziedzinie — w rozwoju biurokracji. Ci, którzy korzystają z usług Miejskich Pralni i Farbiarni od dłuższego czasu, zapewne zauważyli, że dawniej pokwitowanie za oddane do prania koszule i bieliznę było znacznie mniejszych rozmiarów niż obecnie. Obecnie klient otrzymuje taką mniej więcej płachtę papieru, jaką dają mu w punkcie krawieckim, gdzie ka-

zdać sobie uszy spódnice. Można powiedzieć, że pralnie dorównały już krawcom, dobrze tylko, że nie w terminach wykonywania usług, bo byśmy musieli na wypranie bielizny czekać po kilka miesięcy. Ale i to równanie do innych przedsiębiorstw usługowych nie przynosił pralniom i farbiarniom zaskazy, ani nie może być powodem do chwały i dumy. Wręcz przeciwnie!

Oto oddałem do prania trzy koszule. W zamian otrzymałem kwit o wymiarach 30 na 21 cm, czyli formatu „A-4”, a więc takiego, jakiego powszechnie używa się do pisania na maszynie. Na tym kwicie widnieją wiele rubryk, które powinny być wypełniane w różnych okolicznościach, a które najczęściej nie są wypełniane. Na tym kwicie wydrukowano też stwierdzenie, które dano mi i daje się wszystkim klientom MPiF w Łodzi do podpisania przed wyrwaniem kwitu z blozku. Brzmi to tak: „Stwierdzam, że zapoznałem się z treścią kwitu i podany mi na odwrocie warunkami przyjęcia bielizny do prania i wyrażam zgodę”.

Owe warunki wydrukowane na odwrocie kwitu, na które zgadza się każdy klient i jeszcze przed zapoznaniem się z nimi, nie są żadną rewelacją i mogłyby być po prostu wywieszone w

każdym punkcie odbioru bielizny. I też nie by się nie stało. Również można byłoby z całym spokojem zrezygnować z wielu rubryk, jak np. „Wartość szacunkowa — Klienta — P-stwa” (Dlaczego „P-stwo” jest z dużej litery a klient, który zawsze powinien mieć rację i dla którego pracuje „P-stwo”, z malej? Więcej szacunku dla klienta panowie urzędniczy), „pokwitowanie odbioru... data... wydany... otrzymał”, którego nigdy nikt nie kwituje, oraz pięć miejsc na różne podpisy.

Na odwrocie owych pokwitowań MPiF widnieją następujące zasyfrowane adnotacje: „Druk Wąbrzeźno 2167, 5 VI - 75, 10 000 bl. à 100 k” i na innych: „Druk Wąbrzeźno 3142, 7.09. 75, 10 000 bl. + 10 egz. bl. à 100 k”. Z tej informacji — po jej rozszyfrowaniu — wynika, że kwity drukowano w Wąbrzeźnie według zamówień nr 2167 i nr 3142, stało się to w czerwcu i wrześniu 1975 roku i za każdym razem drukowano po 10 tys. bloków każdy po 100 kartek a za drugim razem dodatkowo jeszcze 10 bloków po 100 kartek. W sumie zamawiano milion kartek papieru o formacie „A-4”. No, powiedzmy — pół miliona, bo cały ten nakład przy dobrej woli i rozumnym zakomponowaniu kwitów można byłoby wydrukować tylko na połowie arkusza „A-4” czyli na arkuszu o formacie „A-6”.

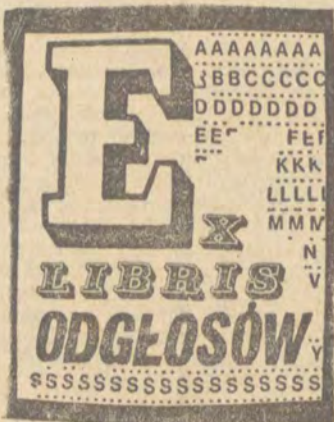
W telewizji pokazują czasem, ile to trzeba ścinać drzew, aby otrzymać kilogram papieru, jak

długo rosną nowe drzewa i ile kg makulatury lub drzewom ratuje życie. Nie wdając się w szczegóły można powiedzieć tylko, że niestety zużycie papieru rośnie znacznie szybciej niż rosną drzewa. Być może kiedyś uczeni znajdą surogat papieru, ale — jak do tej pory — wszystkie próby zawiodą. Pozostaje nadal ścinać drzewa i robić papier. Ale tym papierem trzeba też mądrze gospodarować. Jest to postulat, który powtarza się od lat i bez żadnego skutku. Wprawdzie ogranicza się objętość gazet, nakładów książek, bo to najłatwiejsze, najbardziej uchwytne. Ale przecież — mimo że w gazetach i książkach ukazują się czasem bzdurliwe treści — nikt mi nie wymówi, że tu dokonuje się największe marnotrawstwo papieru. Dokonuje się ono zupełnie bezkarnie.

Papierem żywi się przede wszystkim biurokracja. Stosy podań, formularzy, zestawień, sprawozdań, wniosków i innych druków wypełnia odświeżenie kilkadziesiąt tysięcy Polaków; nie ma tu zupełnie żadnej niewności, że ich praca przyniesie jakikolwiek pożytek. Przeszliśmy już jedną akcję powszechnego przeglądu wszelkich druków i formularzy i wiele z nich wycofano z obiegu. Uważam, że znów nadzedł czas na podobną akcję. Czas ramkować nasze tygrysowi biurokracji, która bezużytecznie pożera tysiące ten drogiego papieru.

MARCIN RODAK

13



ANTONIONI

Kim jest Michelangelo Antonioni nikomu mówić nie trzeba, wystarczy tytuły jego filmów: „Powiększenie”, „Czerwona pustynia”, „Ten wybitny artysta kina ukonczył Wydział... Ekonomiczny i Handlu Uniwersytetu w Bolonii. Ale już jako student kierował teatrem studentek, wystawiał Ibsena, Pirandella, Czechowa. Potem prowadził dział filmowy w jednej z

gazet i kręcił filmy na wąskiej taśmie. Dopiero w 1940 roku, dobiegając trzydziestki, zaczął studia reżyserskie w Rzymie ale początkowo działał jako scenarzysta i krytyk filmowy w czasopiśmie „Cinema”. W roku 1941 asystował Marcello Carné przy filmie „Wielcy goście”, do roku 1945 zrealizował siedem filmów dokumentalnych.

Debiutował filmem „Kronika pewnej miłości”, ale sławę światową przyniosło mu takie dzieło jak „Przygoda”, „Noc”, „Zacmienie”, „Czerwona pustynia”, „Powiększenie”. I właśnie scenariusze tych filmów zawierał tom opublikowany ostatnio przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe. Jest to lektura równie pasjonująca jak filmy Antonioniego. Artysta jest niedoścignionym mistrzem w odsłanianiu tajemnic psychiki i uczuciowości kobiecej, dając wszechstronny opis miłości w jej aspekcie fizjologicznym, psychologicznym, moralnym i obyczajowym.

M. Antonioni „Scenariusze”, Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 50 zł.

MACKIEWICZ

Kim był Stanisław Cat-Mackiewicz? Znany go głównie jako esesne, dyskotowego gawędziarza historycznego i zaciekłego polemisty, tymczasem przez trzy czwarte swego 70-letniego życia był Mackiewiczem przede wszystkim publicystą politycznym i politykiem. Jerzy Jaruzelski pisząc książkę „Mackiewicz i konserwatyści” daje współczesnemu czytelnikowi niejako uzupełnienie postaci legendarnego Cata.

Nie jest to wszakże próba oobrazowania. Właściwie każda z jego powojennych książek wydana w Polsce Ludowej wywoływała mocne polemiczne echo. Nie są to szkice polemiczne, mimo że mowa w nich o sprawach, najgłośniejszemu monarchii, o sytuacji międzywojennej oraz najgłośniejszemu zwolennikowi orientacji prochiemskiej w polskiej polityce zagranicznej. Uczynił to bowiem w sposób jednoznaczny i definitywny sam bieg dziejów.

Stanisław Mackiewicz był postacią barwną, ciekawą i niezwykle kontrowersyjną. Aż do śmierci, nie bez racji, że był spóźniony o epokę. Lecz był również nieodłączną częścią epoki, w której działał.

Jerzy Jaruzelski „Mackiewicz i konserwatyści”, Czytelnik, cena 32 zł.

PELERYNY I CIUPAGI

Jan Reychman zastrzega się we wstępie do swojej słynnej książki, że nie jest to opracowanie historyczne, ani rozprawa z zakresu historii kultury i socjologii, nie jest to również — pisze autor — praca z dziedziny psychiatrii czy psychopatologii, mimo że mowa w niej o osobach o ludzkich, którzy przeszli do nieobrotowych stanów psychicznych. „Peleryna, ciupaga i znak tajemny” jest jednak po trosze i opracowaniem historycznym i pracą z zakresu psychiatrii. Ale przede wszystkim jest to gawęda o dziwacznych czasach, dziwnych postaciach, ludziach ciekawych i niezwykłych — zafascynowanych Wschodem i urzeczonych Tatarami, o ludziach rozkochanych w jednym i drugim. O epoce, kiedy to fascynacje stapiały się w jedno, o czasach gorących, niesamowitych. O mamkach i oryginałach, o dziwakach zarzonych bakcylem tatarskim poszereżonych, opętanych pasją Tat aż do szaleństwa, aż do stanu maniackalnego.

Opowieść ta zaczęła się na kanwie wrażeń z lektury spuścizny osobistej wielu opisanych w książce oryginałów i dziwaków. Książka zasłania wątkiem wspomnień — świadków owych czasów z przełomu XIX i XX wieku. Z kolei i oni sami stali się przedmiotem tej książki.

A książka opowiada o Witkiewiczu i Teumajerze, o Strugu i Zborowskim, o generale Zaruskim, Chalubinskim, Sienkiewiczach... Jak na jedną książkę bohaterów znanymi jest w niej mrowie.

Jan Reychman, „Peleryna, ciupaga i znak tajemny”, Wyd. Literackie, cena 45 zł.

KOT

Georges Simenon znany jest przede wszystkim jako niezwykle płodny autor powieści detektywistycznych, twórcą legendarnej już postaci komisarza Maigret. Książki Simenona przełożono na 90 języków, doczekały się też licznych ekranizacji. W filmach francuskich postać komisarza odtworzył najczęściej niestrudzony Jean Gabin.

Ale Georges Simenon pisuje również powieści o postęblonej analizie psychologicznej i obyczajowej. Przed paroma laty ukazała się w Polsce znanymi dla tego nurtu twórczości Simenona powieść „Premier”.

Również do tej grupy książek zaliczyć można wydaną w roku 1968 powieść „Kot”. Przekład jej wydano obecnie w Polsce w znanej i cennej serii „Klubu Interesującej Książki”.

Autor ukazuje tu tragiczny konflikt dwójga starych ludzi, którzy nienawidzą się nawzajem, nie mogą jednak bez siebie istnieć.

Georges Simenon, „Kot”, PIW, cena 18 zł.

CZTERDZIEŚCI LAT

Jeśli kogóż interesują dzieje teatru polskiego w ostatnim półwieczu, ten nie może pominąć w swoich lekturach wspomnień Zbigniewa Koczanowicza „Czterdzieści lat to niewiele” — wyznaje w tytule autor, ale w ciągu tych ostatnich czterdziestu lat wydarzyło się przecież tak wiele. Koczanowicz był aktorem jeszcze przed wojną, a więc w zupełnie innej epoce teatralnej, w teatrze jakże różnym od teatru dnia dzisiejszego.

Grał w teatrach prowincjonalnych: w Toruniu, Bydgoszczy, potem w Poznaniu i Wilnie. Ostatni przedwojenny sezon 1938-1939 grał już w Teatrze Narodowym w Warszawie. A potem okupacja: Pawlak i wędrownka przez hitlerowskie obozy koncentracyjne. Nie była to epoka sprzyjająca pasjom teatralnym.

Ale nasajutrz po wyzwoleniu Koczanowicz wraca do teatrów warszawskich. Potem parę sezonów jako dyrektor i reżyser w Zielonej Górze, potem — do roku 1963 — Łódź. I wreszcie znów Warszawa.

Pamiętnik Zbigniewa Koczanowicza, cenny przyczynek do dziejów teatru, ukazał się w serii teatralnych Wyd. Artystycznego i Filmowego.

Zbigniew Koczanowicz „Czterdzieści lat to niewiele”, WAiF, cena 40 zł.

DWIE PORAZKI

Ostatnia sobota (24 kwietnia 1976 roku) była fatalnym dniem dla polskiego sportu. Wprawdzie ta sama sobota zapisała się pięknym zwycięstwem Wojciecha Fibaka w Sztokholmie, ale ten sukces przyćmiła porażka hokeistów. Jeśli ktoś pamięta naszych hokeistów z ostatnich Igrzysk Olimpijskich, to może stwierdzić jak wielkiego dokonał postępu, jak wiele zrobili w tak krótkim czasie. Jeśli ktoś uważnie oglądał ich mecz na katowickim lodowisku, to nie zapomni pokazu zapadu, ambicji i serca. I tego jednego gola, który zdecydował o spadku do grupy „B”.

Pod koniec meczu drużyna RFN miała jedyną szansę, kiedy krązący znalazł się w fercy drużyny polskiej i tu wznowiono grę. Trzeba było choć na kilka dziesiąt sekund uzyskać liczącą przewagę, aby pokonać Andrzeja Tkacza. Trener drużyny RFN z tej szansy skorzystał, wycofał bramkarza i tak padła zwycięska bramka. Drużyna RFN pozostawała w grupie „A”. Nasza będzie musiała wszystko zaczynać od początku. Słyszałam takie zdanie, że to niesprawiedliwe. Ale w sporcie liczą się wyniki. Mniej ważne, kto na te jedyny bramkę zasłużył, bardziej ważne, kto potrafił ją zdobyć.

A więc wszystko trzeba będzie zaczynać od początku i to się naszej hokejowej reprezentacji niewątpliwie przyda. Walczyli przepięknie, z animuszem, fantazją, zapalem i ambicją. Cała Polska była z nimi w tej walce. To wszystko prawda. Walczyli do ostatniej sekundy. I to też prawda. Ale prawdą jest również to, że naszym hokeistom potrzeba więcej technicznego przygotowania, więcej kondycji, więcej umiejętności. I teraz przyszedł czas aby to wszystko poprawić. Wprawdzie te same umiejętności można było zdobyć pozostając w grupie „A”, ale teraz trzeba będzie zdobyć ich jeszcze więcej, żeby do grupy „A” powrócić. I wierzę, że nasi hokeiści tam powrócą.

Hokeiści przegrali, ale nikt nie może mieć o to do nich pretensji, bo przegrali mimo zacietej walki. W Lens w Francji przegrali polscy piłkarze i wszyscy, łącznie z Kazimierzem Górskim, powinni mieć o to do nich pretensje. Takiego pokazu nieporadności, lenistwa na boisku, bezmyślności, braku kondycji i przygotowania dawno nie widzieliśmy w wykonaniu naszej — bądź co bądź — narodowej reprezentacji. Wstyd było patrzeć na to, co działo się na boisku w Lens, gdzie z trzecią drużyną świata Francuzi poczuli sobie jak chcieli.

Katowicki „Sport” zaprosił do redakcji trenera reprezentacji Kazimierza Górskiego i o tym fakcie powiadomił swoich Czytelników. Kto chciał mógł dzwonić do redakcji, aby porozmawiać z trenerem „biało-czerwonych”. I ludzie dzwoniли, a „Sport” to wszystko później na swoich łamach zrelacjonował. Rozmowa odbyła się jeszcze przed światkami, a relacja ukazała się przed spotkaniem w Lens. W tej rozmowie z Czytelnikami Kazimierz Górski wyłożył swoją filozofię. Powiedział on między innymi:

Do olimpijskiego składu „nie mogę typować debiutantów. Ale także nie mogę budować całkowicie nowego zespołu, nawet gdyby mieli w nim znajdować się sami rutynowani zawodnicy. Określając termin budowlanych to w tej chwili stoi mur, w którym mogę zmienić kilka cegieł, natomiast nie mogę go w całości rozebrać i ustawić ponownie”.

Postępując się tą samą terminologią — ten mur we Francji chwiał się strasznie i w końcu się obalił, co Francuzi zanotują w swoich kronikach jako kolejne zwycięstwo nad polskimi piłkarzami. W tym piłkarskim murze zbyt wiele było słabych cegieł, choćby Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato, Jerzy Gorzon. A wydawałoby się, że to powinny być „cegiły” najsilniejsze. Inni — z rutynowanych kofrowców — starali się jak mogli, ale nie było między nimi zgrania, nie było wzajemnego zrozumienia, podawali nieskładnie, rozgrywali jakby byli nie w Lens, a na meczu w Rzeszowie.

Kazimierz Deyna powiedział przed meczem reporterowi „Expressu Wschodniego”: — „Jestemsiem dobrze przygotowany do tej próby”. I dodał: — „Będę starał się nie być gorszy od mego francuskiego kolegi”. Chodziło oczywiście o Jeana Michela Larque. Ale był gorszy. Co mu się już nie pierwszy raz zdarza.

Kazimierz Górski ma rację, że w tej chwili nie ma już możliwości na przebudowanie reprezentacji. Trzeba ją po prostu wzmocnić nowymi siłami. Ale też trzeba ją tak wzmocnić, aby wszystkie linie były zdolne do spełnienia swojej roli. A taka możliwość jeszcze istnieje. Pod warunkiem wszakże, że piłkarze wezmą się do solidnej roboty. Inaczej — trudno będzie obronić i zachować olimpijskie złoto. Trudno dlatego, że do Montrealu przyjeżdże wiele drużyn dobrze do olimpijskiej rywalizacji przygotowanych, które będą chciały zwyciężyć z Kanady złoty medal.

Je porażkę w Lens ktoś powiedział, że Polacy zawsze źle grali w meczach towarzyskich, ale znakomicie spiswali się w momentach decydujących. Bywało tak. A właściwie raz tak było, bo nie zapominajmy, że z Mistrzostw Europy — niestety — wypadliśmy. Raczej byłaby to za tym, aby takich poglądów nie rozpowszechniać, bo uspokajają one naszych piłkarzy zamiast mobilizować ich do coraz większego wysiłku. A ten jest niezbędny.

BOGDA MADEJ

NA NIEBIE I NA ZIEMI

Rzecz zdarzyła się przed 11 tysiącami lat, ale dowiedzieliśmy się o tym stosunkowo niedawno. Pierwszym, który wpadł na trop tego wydarzenia był archeolog Georg Michanowsky. W 1956 roku, bawiąc z wyprawą w Boliwii, zaobserwował dziwny i zupełnie niezrozumiały obyczaj tamtejszych Indian. Przybywali oni raz w roku — nawet z odległych stron — aby bawić się i ucztować przy wielkim kamieniu. Po czym się rozchodzili. Georg Michanowsky dowiedział się tylko, że takie zabawy odbywały się od niepamiętnych czasów oraz przerysował do notatnika wykuty w kamieniu dziwny schemat.

W 1972 roku astronomowie ogłosili w jednym z amerykańskich czasopism apel do wszystkich podróżników, pytając ich czy gdzieś na południowej półkuli nie spotkali rysunku przedstawiającego gwiazdozbiór. Okazało się, że to, co w 1956 roku przerysował Georg Michanowsky było właśnie poszukiwanym przez astronomów rysunkiem. Astronomowie obliczyli bowiem, że przed 11 tysiącami lat w obrębie gwiazdozbioru Żagla nastąpił wybuch gwiazdy supernowej i zjawisko to nie mogło być nie zauważone na Ziemi. Supernowa świeciła bowiem na nocnym niebie tak jasno jak Księżyc, a poza tym widoczna była również w słoneczny dzień.

Georg Michanowsky, który do tej pory interesował się archeologią, zaczął nagle poszukiwać prehistorycz-

nych śladów supernowej. W tym celu przemierzył Amerykę Południową, a także udał się do Azji Mniejszej, dochodząc do wniosku, że również i tu — nisko nad horyzontem — musiała być widoczna supernowa. Jego założenia potwierdziły się. W dokumentach babilońskich, będących kopiami znacząco wcześniejszych przekazów sumeryjskich, znalazł Georg Michanowsky opis „gwiazdy boga Ea”, świecącej dzień i noc nisko nad horyzontem.

Zdaniem niektórych uczonych wybuch supernowej przed 11 tysiącami lat miał dla historii cywilizacji ogromne znaczenie. Była to — jak powiadają niektórzy — druga obok Słońca najważniejsza gwiazda ludzkości. Zdaniem Georga Michanowsky wybuch supernowej stał się przyczyną powstania wielu legend i mitów oraz rozbuździł zainteresowanie sprawami nieba, rozpoczynając jego badania. Miało to wpływ na rozwój wielu późniejszych umiejętności, zapoczątkowujących naszą cywilizację. Inni z wybuchami gwiazd supernowych wiążą gwałtowne przemiany, jakie zaszły w historii naszej planety.

Wybuchowi gwiazdy supernowej towarzyszy nie tylko silne świecenie, ale też emisja promieniowania, w tym również rentgenowskiego. To promieniowanie niszczy osłonę ozonową, która chroni powierzchnię planety przed zębym promieniowaniem kosmicznym. Nadmiar promieniowania kosmicznego, które po zniszczeniu warstwy

ochronnej z ozonu, dostaje się na Ziemię, wywołuje różne niekorzystne szczególnie dla fauny zmiany. Z wybuchem supernowej wiąże się na przykład gwałtowne wyginięcie dinozaurów. Z wybuchem supernowej sprzed 11 tysięcy lat wiąże się gwałtowne wyginięcie... mamutów, które wymarły na skutek gwałtownej zmiany klimatu na Ziemi. Warto jednak dodać, że nie jest to jedyna hipoteza na ten temat.

Warto też dodać, że w historii ludzkości zanotowany wybuch gwiazdy supernowej sprzed 11 tys. lat, nie był jedynym zaobserwowanym i zanotowanym w starych kronikach. W kronikach chińskich i japońskich jest wzmianka o takiej obserwacji z roku 1054. W roku 1572 wybuch gwiazdy supernowej obserwował duński astronom Tycho de Brahe, a w 1604 roku — astronom niemiecki, Johannes Kepler. Ale w tych okresach nie zanotowano żadnych kataklizmów na Ziemi, być może dlatego, że wybuchy gwiazd supernowych odbywały się w dalekich rejonach Wszechświata.

Trudno dziś powiedzieć, czy te hipotezy znajdują potwierdzenie, jakkolwiek powszechnie wiadomo, że na wiele procesów zachodzących na naszej planecie wywierają wpływ zjawiska zachodzące w Kosmosie, a już niewątpliwie w naszym Układzie Słonecznym. Ale wielkie zainteresowanie się sprawami Wszechświata bierze się nie tylko stąd, że jesteśmy jego integralną częścią, choć niewspółmiernie drobną, a również stąd, że ludzie pragną znaleźć odpowiedź na pytanie, skąd i jak to się wszystko zaczęło.

Przed wszystkim nurtuje nas pytanie: czy jesteśmy sami? Niektórzy uczeni skłonni są odpowiedzieć na to pytanie w sposób twierdzący: tak, jesteśmy sami! Uważają oni, że do powstania życia potrzebny jest taki zbieg okoliczności, który nie może się powtórzyć w żadnym innym przypadku. Natomiast inni uważają, że jest to możliwe, gdyż nie tylko wokół Słońca krąży planety. A skoro tak, to również na tych planetach mogło powstać życie i mogły się tam wykształcić cywilizacje. Być może — twierdzą niektórzy — są to cywilizacje, które powstały wcześniej i znajdują się na wyższym stopniu rozwoju.

Dla tych, którzy zakładają możliwość powstania cywilizacji na plane-

tach krążących wokół licznych gwiazd we Wszechświecie, problem sprowadza się do znalezienia sposobu porozumienia się z tymi cywilizacjami. Przy obecnym stanie naszej techniki jedynym takim sposobem byłaby wymiana sygnałów radiowych. Kosmos jest dookładnie penetrowany przez radioteleskopy, ale jak do tej pory odbierają one naturalne sygnały radiowe z kosmicznej przestrzeni. Procesom zachodzącym w Kosmosie towarzyszy bowiem emisja fal elektromagnetycznych. Dzięki nasłuchowi tego falowania znacznie powiększyła się nasza wiedza o Wszechświecie.

Nieustannie nasłuchuje się też sygnałów radiowych sztucznego pochodzenia. W ZSRR pracuje na przykład radioteleskop „RATAN-600”, który szuka sztucznych sygnałów radiowych w Kosmosie. W USA taką samą pracę wykonuje radioteleskop o 300-metrowej średnicy. Uczeń uważają, że znacznie więcej można będzie się dowiedzieć o Kosmosie i pochodzącym stamtąd promieniowaniu elektromagnetycznym, kiedy zostaną działające stacje orbitalne, kiedy na orbicie okołoziemskiej można będzie zmontować gigantyczne radioteleskopy i inne urządzenia do badania przestrzeni kosmicznej.

Umieszczenie gigantycznego teleskopu na okołoziemskiej orbicie pozwoli na przykład zobaczyć planety krążące wokół gwiazdy Tau w gwiazdozbiórce Wieloryba oraz planety gwiazdy Epsilon z gwiazdozbioru Erydan. Zdaniem niektórych uczonych w tych układach słonecznych istnieją warunki podobne do naszego Układu Słonecznego i planety krążące w takiej odległości od tamtych słońc jak i u nas, a więc podobieństwo w do tej pory dostrzeżonych warunkach może rodzić nadzieje, że tam również powstało życie i powstały cywilizacje. Szkoła tylko w tym, że na przykład gwiazda Tau z gwiazdozbioru Wieloryba oddalona od nas jest o 12,2 milionów lat świetlnych, Trochę to daleko.

A mimo to niektórzy twierdzą, że gościliśmy kiedyś Kosmitów.

M. R.

BALET

CZYSTOŚĆ KLASYKI I PUŁAPKI DOSŁOWNOŚCI

Bogaty w wydarzenia baletowe obecny sezon Teatru Wielkiego przyniósł nową premierę, ściśle mówiąc — dwie prapremiery i jedną łódzką premierę w programie jednego wieczoru.

Najpierw nastąpiło prawykonywanie oczekiwane ze zrozumiałym zacięciem w wykonaniu baletu TAM O'SHANTER, którego libretto, zaczerpnięte z poematu Roberta Burnsa, jest wspólnym dziełem trójki twórców, biorących udział w przygotowaniach do premiery — kompozytora Leightona Lucasa z Londynu, choreografa Vasilie'a Trunoffa z Australii i scenografa

Williama Donachie z... Barcelony (ale za to autentycznego Szkota, czego dowiódł prezentując się na widowni w gustownej spódniczce, do której noszenia mają prawo wyłącznie członkowie jego klanu). Tylko wspólna miłość do Burnsa sprawić mogła, że trzej rozdzielni mierzani a nawet oceanami twórcy potrafili w półtoroletnim, nieregularnym obcowaniu dać życie wspólnemu dziełu.

Nic więc dziwnego, że w tym wspólnym tworze więcej można odnaleźć śladów uczucia niż jednolitej myśli przewodniej. Muzyka, wzorowana na

szkockich motywach, umiarkowanie modernistyczna, zaskakiwała jednak dość nieoczekiwanymi brzmieniami. Być może wzięło się z trudności oddania kolorytu brzmieniowego szkockiej muzyki ludowej za pomocą instrumentarium orkiestry symfonicznej. Na pierwszym przedstawieniu przejął batutę od dyr. Bogusława Madeya, który przygotowywał stronę muzyczną, sam kompozytor. Ten pierwszy praktyczny kontakt autora z własną partyturą przysporzył nieco trudności rytmicznych pierwszej odsadzie, co ujawniło się zwłaszcza w tańcach w szkockiej gospodzie, pięknie zresztą zaprojektowanej. Zbiorowe tańce wychodziły niespójnie, mimo dobrych popisów Tama (Jacek Solecki) i jego kompana Soutera (Bohdan Janowski). Zamyśl charakterystyczno-komiczny ginał w rubaszności i chwacickiej krzepie. (W drugiej odsadzie Soleckiego złuzował Zdzisław Lis).

W scenie „Sabatu czarownic” korowód wiedzim nieskutecznie usiłował robić nastrój groteski, brakło bowiem dystansu przez dosłowność kostiumu i ruchu. Wyróżnił się znakomity Diabeł w postaci szkockiego kobziarza, z jedną nogą na kształt koguciego pazura. Dopiero chyba od pas de deux Warlocka i Cutty Sark (doskonała Lilliana Kowalska i Kazimierz Knoll) nastąpiła zgodność ekspresji muzyki i tańca, zabłysnęła też druga para z plekta rodem — Anna Fronczek i Marek Skuratowicz (w odsadzie niedzielnej Grażyna Popławska i Franciszek Knapik). Muzyka nabrała pod koniec blasku a tańce wigoru, pozostało więc korzystne wrażenie.

Druga prapremiera wieczoru — „Concerto grosso” oparta na utworze symfonicznym Bronisława Szabelskiego, stanowiła pierwszą prezentację na naszej scenie kierowniczej baletu, znanego choreografa Teresy Kujawy. Mimo iż interpretacja „czystej” muzyki środkami baletu klasycznego nie należy do głównych zainteresowań Teresy Kujawy, rezultat jest godny uznania. Jeśli jeszcze w motorycznym Allegro assai uwaga widza mogła się kontentować chłodną obserwacją logicznego i przejrzystego zagospodarowywania ruchem przestrzeni scenicznej i sprawnym wykonywaniem tych intencji przez grupę baletową, to w Lento, niezwykle oszczędnym w wyrazie muzycznym, pełnym powściągliwej ekspresji, zawładnął tańcem nastrój emocjonalnego napięcia.

Co ciekawe, choreograf potrafił odczytać w muzyce, a może nawet narzucić jej, uzasadnienie dla innego typu emocji. W pas de quatres z chwili na chwilę narastał w płynnych i zmysłowych ruchach nastrój miłosnego zapamiętania się, szukającego sobie ujścia w coraz silniejszych umieszczeniach, aż do granicy jakby rozpaczliwej egzaltacji, której progę szczęśliwie nie przekroczone. Prawem kontrastu napię-

cie emocjonalne uczytelniała szarość kostiumów na tle szarości plonowo ustawionych płaszczyzn, idących zbieżnie w głąb sceny (dzieło Władysława Wigury). Wielkie uznanie dla obu par — Lillian Kowalskiej i Kazimierza Knola oraz Ewy Wycichowskiej i Franciszka Knapika. (W drugiej odsadzie drugą parę zastąpili Grażyna Popławska i Bogdan Janowski).

Nastąpiło potem jakby katharsis — przepiękne Allegro, z początku o charakterze zwiennego scherzanda, które najwzdużniejsze ucieleśnienie stworzyła Ewa Wycichowska. Przejrzystą fakturę tej świetnej muzyki z wielką precyzją zarysował Bogusław Madey, współtwórca sukcesu całości.

Znany w świecie balet Manuela de Falli „Czar miłości” wykonywany wszędzie z tradycyjnym librettem, opartym na cygańsko-andalujskim folklorze, otrzymał przed czterema laty we Wrocławiu nową inscenizację Teresy Kujawy, na podstawie dramatu Garsii Lorki „Yerma”. Powtórzono go w trzecim punkcie programu, w niewiele podobno zmienionym kształcie choreograficznym i scenograficznym.

Dramat kobiety, której niezapokojone pragnienie macierzyństwa znajduje ujście w zbrodniczym akcie nienawiści wobec męża, stanowi dość chyba ryzykowny temat dla baletu. Rozwój procesu psychicznego niełatwo może znaleźć ścisły odpowiednik w tańcu, jeśli się chce uniknąć powierzchownej imitacji teatru. Bezpiecznie chyba zawierzyć inspiracji muzycznej.

W przedstawieniu odczuwano się wprawdzie klimat utworu muzycznego, a nawet w wielu momentach dobre „przyleganie” tańca i muzyki (pierwsza pas de deux Yermi i Juana (Janina Niesobka i Kazimierz Knoll) drugiego dnia tańczyła Yerma Krystyna Lecyk, a Juana Marek Skuratowicz). Jak wiele jednak zależy od wykonania świadczą o tym głębsza wymowa dramatu Yermi tańczonej świetnie przez Janinę Niesobką. Z panów co prawda wolalibyśmy drugą odsadę, zwłaszcza w roli Wiktora zdyscyplinowanego Krzysztofa Kulka zamiast zbył „operowo” ilustrowanego swoją rozpacz Franciszka Knapika.

W sumie ogromna koncentracja właśnie operowej hiszpańskości (od muzyki przez tańce do cięszceń oko scenografii Wigury) nadała przedstawieniu silne piętno egzotycznej „rodzajowości”, która przytłumiła ogólnoludzki przecięz sens dramatu.

W konfrontacji trzech baletów jednego wieczoru klasyka okazała, moim zdaniem, największą emocjonalnie siłę nośną. Oczywiście, decydująca w tym zasługa choreografa. Ale... czy lubimy być chwaleni za to, czego nie uważamy za swoją najmocniejszą stronę?

JERZY KWIECIŃSKI



Fot.: C. Zieliński

magazyn

Moda retro ponieć wygasa, a więc wracamy w ostatnim momencie, aby zapoznać Czytelników (a niektórym tylko przypominając) strukturę rozrywki w Polsce lat międzywojennych. Lata dwudzieste to w życiu estradowym przedwojennej Polski raptowny rozwój teatryzacji rewiowych i kabaretów. Powstają m.in. Czarny Kot, Miraż, Slinks, Perskie Oko, Morskie Oko, a później słynne Qui Pro Quo. Teatrzyki te pragnęły upodobnić się do modnych w tym czasie lokalnych paryskich w rodzaju „Casino de Paris”, czy lokalnych londyńskich, bądź amerykańskich superrewii typu „Broadway-Show”. Oczywiście uboższe było to słowiańskie show, ale za to bogate było w szlagiery amerykańskie (znany to, znany z naszej TV. Historia lubi się powtarzać) z polskimi tekstami, jak np. „Siadaj pan! (Is She Sweet?) „Daj buzi moja mała” (No fooling), „Idź pan spać” (Crazy Words, Crazy Tune). Jest to okres krystalizacji talentów późniejszych gwiazd przedwojennej polskiej estrady: Lopa Krukowskiego, Adolfa Dymyzy, a przede wszystkim Anny z Pietruszyńskich Tyszkiewiczowej, znanej pod pseudonimem Hanka Ordonówny, kobiety fatalnej bądź pozującej (raczej to drugie), na la femme fatale. Ponoc była First Lady piosenki polskiej, kobietą fatalną, taką jak Marlena Dietrich w filmie „Błękitny Anioł”. Tak przynajmniej twierdzi ostatni polski mężczyzna fatalny prowadzący w TV program poświęcony pamięci tej wybitnej wokalistki. To były ponoc oke- ne czasy! Szampa, ostrzyż, prze-

jażdżki dorożkami, zwirowane pomysły Wieniawy Długoszowskiego, cerberzy w papuzio kolorowych liberach, fraki, smokingi, fordanserki i przewijający się natrętnie motyw autentycznego przeboju „Miłość ci wszystko wybaczy”. Hej, lezka się kręci w oku.

ANDRZEJ JÓZWIAK Rozrywka, rytm i melodia

Lata dwudzieste znamionuje powstawanie reprezentacyjnych lokalnych dancinowych w miastach wojewódzkich i miejscowościach wypożyczkowych, jak: Krynica, Busko, Zakopane, Ciechanów. Otwarcie nowych lokalnych w Warszawie powoduje, że wiele opularnych orkiestr grających dotąd w innych miastach, bądź za granicami kraju, pospiesznie przybywa do stolicy. Liderami najpopularniejszych orkiestr tego okresu byli: Jerzy Petersburski, Zygmunt Karasiński, Fred Ignacy (Melodysta), Artur i Henryk Goldowie, Czesław Lewandowski, Henryk Wars i in. Powstaje duży band „Karasiński i Katuszki”, który w 1926 r. zostaje zaangażowany do objazdowej rewii reklamującej motocykle marki „Indian”. Reżyserem tej rewii był Konrad Tom, Pierwszy w Polsce

koncert jazzowy odbył się w 1921 roku!

Skwiliowany został zjadliwym atrykulem pn. „Profanacja sztuki. Przeróbki Chopina przez Jazzband”. Autor pisał ze świętym oburzeniem: „Kilka dni temu z oburzeniem stwierdzono jak Jazzband w „Wielkiej Ziemiańskiej” wygrał foxtrotla, na którego trzy części składały się przeróbki Chopina. Jak to wyglądało przy porykiwaniu trąbek, warczeniu rozmaitych bębneków i innych nieodczuwanych dodatków tej muzyki, można sobie wyobrazić. A wszystko to przy burzliwych oklaskach i wyrazach uznania niewybrednej publiczności”. W latach 30-tych sytuacja się zmienia, również i poważniej-

sze formy muzyczne zaczynają interesować się jazzem. Opera — która w końcu lat dwudziestych wystawiła balet „Ostatni Piętro”, przy współudziale orkiestry Karasińskiego — dnia 14 lutego 1931 r. występuje z premierą opery „Jazzband, Murzyn i Kobieta” Ernesta Kreneka. W latach bezpośrednio poprzedzających wojnę, do najbardziej cenionych orkiestr należały: zespół Kazimierza Turwicza, Franciszka Wilkowskiego, Aleksandra Tumela, Bronisława Stasiaka, Wiesława Machana.

Muzyka rozrywkowa trafia do filmu dźwiękowego. Ilustracje muzyczne opierają się na pomysłach broadwayowskich bigshow. Szczególnie widoczne jest to w filmach: „Pieśniarz Warszawy” (motyw z tego filmu, popularny przebieg lat 30-tych „Już taki je-

stem zimny drań” jest plagiatem jazzowego tematu (Wabasz Blues), „Kocha, lubi, szanuje”, „Pani minister tańczy”, „Wacuś”, „Strachy” (wg powieści Ukniewskiej) itd.

W polskim imporcie filmowym lat 1930-39 dominują filmy amerykańskie, często zawierające duży ładunek ekspresji jazzowej jak np.: „Pieśniarz jazzbandu”, „Przerwana pieśń” z Al Jolsonem, „Król jazzu” z Paulem Whitemanem, „Statek komedianów” z Paulem Robesonem, „Broadway Melody”, czy też późniejsze „Hollywood Hotel” z Benny Godmanem, lub Alexander's Ragtime Band”. Wspomnieć należy też o filmach z jazzowym podkładem dla tanecznych popisów Freda Astaire'a i Gingers Rogers („Zatańczmy”, „Roberta”, „Lekokoduch”, „Panowie w cylindrach” itd.). Ten ostatni film bardzo spopularyzował w Polsce melodie „Jestem w siódmym niebie”. Jazz był więc atrakcyjny i modny. Filmy komediowe, rewelowe, muzyczne obsadzone w realiach współczesnych, swą przynależność do współczesności dokumentowały właśnie odpowiednią porcją jazzu i nowoczesnego tańca. Jako emocjonalnych symboli epoki przemysłowej cywilizacji. O filmie „Pieśniarz Warszawy” z Eugeniuszem Bodo w roli głównej, recenzent charakteryzując karierę bohatera, który zdobywa sławę stając się modnym pieśniarzem rewiowym — pisze: „Bodo wnosi na ekran atmosferę nowoczesnego życia z rytmem foxtrotla, z brzykiem jazzu. Życia wolnego od konwenansów i zbuntowanego przeciw tradycjom”.

Najpopularniejszy zespół roku 1939 orkiestra F. Witkowskiego wyjeżdża do Nowego Jorku na światową wystawę. Do Polski nie zdążyli już wrócić. Do kraju nie wrócił też młody kobiecie fatalnej. Człowiek chciałby stracić głowę dla niej, zapomnieć o całym świecie, a ona odpowiada mu ze spokojem: „Co mnie to obchodzi. Dziś nie mogę, mam godzinę nadliczbową”, lub wyjeżdża w delegację.

MICHAŁ BOROŃSKI ROZMYŚLANIA

Ludzie! Przecież jednorodność produkcji to podstawowa przyczyna automatyzacji!

Kropka nad „i” często wędruje poza „i”.

Najpierw pojawił się pojazd kołowy, potem koło garnca- rskie, kołowrotek, a w końcu — kwadratura koła.

Maksymalistę i malkontenta może łączyć jedynie zbieżność konstatacji.

Nie mylić wolnego zawodu z wolną taksówką!

Czasem persona jest non grata ze względu na stan techniczny.

WIESŁAW TRZASKALSKI

MYŚLI

Komu jakaś działalność nie leży, ten ją kładzie.

Dziwni są ludzie: chcieliby raj, a stwarzają sobie piekło.

Im bardziej ścisły post, tym więcej ludzie się żrą.

Marnie wynagradza — kto płaci obietnicami.

Gdy się ma pełne usta — łatwiej piąć peany.

Nawet w dobie najbardziej rozwiniętej techniki, najlepszą maszynką do robienia pieniędzy będzie człowiek.

Malowanie komuś oczu nie poprawi jego widoków.

Kogo bacznie pilnują, ten musi się pilnować.

I pustka w żołądku może zrodzić siłę.

Zacznie ktoś rozwijać w sobie jakieś zdolności, to zaraz zawistnikom wychodzą one bokiem.

Tepe narzędzia muszą się ostro stawić.

Gdy nie można znaleźć wyjścia — trzeba dać się wyrzucić.

HENRYK CZARNECKI

MINIATURY

BOSO

Szczęście wymaga intymności. A najbardziej intymnie czuje się człowiek boso. Bez butów staje się nagle bezbronny. A poddając się należy odrzucić wszystko. Na szczęście patrzy się z dołu. Niech przynajmniej.

Człowiek bez butów czuje się mały. Niedostrzegalny w magazynie świata. Wszyscy szczęśliwi powinni czuć się boso. Nawet w butach.

Boso traci się wszystko co obce. Całą nabytą elegancję. Zakupioną w sklepie godność. Pozostaje — własna.

Chyba dlatego ludzie śpią boso.

I są szczęśliwi.

REFLEKSJA

Marzyłem pod ubogą jajecznicę na obiad i przybrudzone

zasłony na oknach. I tak cudownie było mi źle.

A przez dziurę w butcie, przez pęknięcia we wszystkim co powinno być całe, przez szczeliny w starych zegarach, przez popsułe księżycy, poodklejane barwy i fortepian bez strun, płynęły na maleńkich zagławkach z gazety bajki i bańki mydlane.

Człowiek chyba powinien być co pewien czas kopnięty w dupę i zaczynać wciąć od początku. I nie otaczać się niczym. Bo gdy ma się już dziurka, to w środku ciastka jest dziurka, czyli nul, czyli zero i... żal nagle tamtej jajecznicy, zasłon, pęknięć i szczelin, i braku strun, i poodklejanych kolorów, i dziury w butcie, przez którą widać taki ogromnie rozzieleniony świat.

KOREK

Pyta pan co to za korek?... Zwyczajny. Od butelki. Tyle przecież różnych rzeczy leży zwykle na ulicy.

Ulicą szedł Eugeniusz. Tętu przecież Eugeniuszów chodzi ulicami.

Ale proszę sobie wyobrazić, że właśnie ten Eugeniusz wszedł nogą na ten właśnie korek.

I zламаł nogę.

Moja narzeczona jest chirurgiem. Składała tę nogę. Potem poszli ją wypróbować. Na dancing.

Tak. Jej zwykle udają się wszystkie operacje.

Byłem nawet na ich ślubie.

Ale muszę się Panu przyznać, że to ja położyłem ten korek na ulicy. Chciałem sprawdzić działanie przypadek. Chciałem przekonać się, czy są to w ogóle rzeczy sprawdzalne.

I teraz już wiem.

Ze nie.

Oni kochali się już dużo wcześniej.

Bez korka.

GŁÓWNA WYGRANA

Powiedziałem mu, że głupi ludzie mają szczęście. Natychmiast wypełnił kupon „Totolotka” i wygrał milion.

I odmówił przyjęcia wygranej. Żeby udowodnić, że jest mądry.

Istotnie...



sygnalizowane zresztą w ubiegłym roku w polskim piśmiennictwie naukowym. Odkrycia te gorocznie stanowią jednak nie wątpliwą sensację archeologiczną, nie więc dziwnego, że najazd turystów z Bagdadu pod koniec kampanii wykopaliskowej oraz licznych ekip przedstawicieli

SENSACYJNE ODKRYCIE polskich archeologów W IRAKU

środków masowego przekazu w Iraku — prasy, radia, a przede wszystkim telewizji — nadały tym znaleziskom światowy rozgłos.

Już w pierwszych tygodniach prac terenowych (październik — grudzień 1975) odkopano dwa kolosalne kamienne posągi byków, wysokości około 4 m, strzegące bramy, jak wynikało z inskrypcji, pałacu Szalmanazara III (858—854 r. p.n.e.). Znalezisko to posiada szczególną wartość historyczną, ponieważ dotychczas nie znano plastyki monumentalnej tego władcy, a

jakość wykonania tej rzeźby stoi na najwyższym poziomie, jak również kilkudziesięcioletnie inskrypcje klinowe o dużej wartości źródłowej. Są one obecnie przedmiotem wnikliwych studiów epigrafików z Muzeum Narodowego w Warszawie. Za bramą, obok innych pomieszczeń,

odkopano magazyn neosyryjskiej ceramiki, zawierający około stu dobrze zachowanych obiektów rozmaitych typów od tzw. reprezentacyjnych naczyń pałacowych aż po ceramikę użytkową.

Największym jednak odkryciem bieżącego sezonu, obok wspomnianych już posągów byków, było odkopanie około czterdziestu dużych alabastrowych reliefów z czasów Tiglat-pilazera III (754—727 r. p.n.e.). Stanowiły one, podobnie jak odkopane przez Layarda w XIX wieku, część wykładzin komnat

pałacowych. Wśród nich, oprócz przedstawień figuralnych znanych już z poprzednich odkryć angielskich i przechowywanych w British Museum, znajdują się dwie płaskorzeźby o charakterze zupełnie unikalnym. Po raz pierwszy bowiem znaleziono przedstawienie żołnierzy asyryjskich wynoszących posąg boga Marduka ze świątyni w Babilonie. Również nieznaną była dotychczas scena wyobrażająca kobiety karmiące piersią dzieci.

Odkrycie to nie ma więc sobie równych w ciągu ostatnich lat w Mezopotamii. Musi być ono traktowane jako kontynuacja i rozszerzenie odkryć dokonanych przez Layarda, który wówczas kierował się wyłącznie chęcią zdobycia jak największej ilości zabytków sztuki dla Anglii i nie doprowadził do końca swoich wykopalisk w sposób prawidłowy. Po zakończeniu prac stwierdzono, że w profilu archeologicznym zamykającym eksplorowany w tym sezonie teren, można było doliczyć się krawędzi dalszych kilkudziesięciu płyt podobnych rozmiarów, jak odkryte w tej kampanii. Tak więc najbliższy sezon wykopaliskowy w Nimrud zapowiada się również obiecująco. (pan)

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

ZDARZENIE Z DZIADKIEM

Kiedy pod okna naszej kamienicy przychodził dziadek z wymyślną machiną na rachitycznych kółkach, wszystkim jakoś wesoło robiło się na duszy!

— Noże ostrze! Noże ostrze! Maszynki do mięsa! — wykrzykiwał przez zwinięta dłoń i zaraz zaczynał się ruch w interesie.

Znoszono na dół stare, wysłużone noże kuchenne z ostrzami przypominającymi średniowieczne klingi mieczów, trafiały się też często gesto nożyce, scyzoryki, no i oczywiście maszynki do mięsa, bez których tylko marna gospodyni potrafiła się obejść.

Dziadek uruchamiał swoją maszynę, najpierw sypały się spod wirującego koła snopy rudych iskier, później sypały się monety, na koniec dziadek zwiłaj swój archaiczny majdan i zabierał ze sobą iskrę wesoło pobłyskującą w jego poczciwych, trochę wyblakłych oczach.

Nie wiedział jednak dziadek, że zainteresował się jego działalnością niektórzy urzędnicy.

Jak można chodzić tak samopas i bez planu? — medytowali w czasach swych wyłożonych dywanami gabinecie i od jalożnych medytacji przeszli do konkretnych czynów.

W wyniku kilku konferencji, które wysoko ocenili zwierzchnicy medytujących urzędników powołali niebawem Centralny Zarząd Ostrzenia Noży (w skrócie: CZON) z filiami we wszystkich miastach wojewódzkich, a miast tych dziękuj Bogu, mamy już teraz 49.

W pokoju zaopatrzonej w flakus i dyktando rozpoczął urzędowanie dyrektor, do bratnich placówek w teren ruszyli co ważniejsi urzędnicy CZON-u, a w wieżowcu, który zajęła ta instytucja, zapłonęło neonowe hasło:

Ten ma ostre noże w domu, kto korzysta z usług CZON-u

sem sen i wypoczynek. Ale czego się nie robi dla dobra sprawy?

Kiedy jednak dziadek ze swą machiną nie przyszedł o zwykłej porze, do kamienicy zakradł się niepokój. Tepe noże nie chciały kroić chleba naszego powszedniego, tepe ostrza maszynki do mięsa nie mogły ukrać smakowitych hamburgerów. Tepe nożyce nie chciały wykrawać wzorów nowych sukienek, a tepe scyzoryki nadawały się już tylko do oświetlania butelek z wódką, w której zaczęliśmy coraz to częściej topić swój smutek.

— Gdzie jest nasz dziadek? — pytały z placem dzieci i zaniebdywały się w lekcjach.

— Gdzie jest dziadek? — pytała krawcowa z pierwszego piętra, spoglądając tępym spojrzaniem na tepe ostrza swych licznych nożyce.

— Gdzie jest dziadek? — pytał smakosz z drugiego piętra, emerytowany profesor laryngologii, któremu żona nie mogła przygotować ulubionych kotletów pożarskich.

— Gdzie jest dziadek? — pytał nawet, zamieszkały w suterenie, młody pan po trzydziestce, zwany pieszożółtawie „Alojz-Brzytewka”, o którego profesji tepej jednak nie wspominał.

A dziadka jak nie było, tak nie było. Zdażył już wyrosnąć, w stanie surowym, co prawda, nowo wieżowiec CZON-u, zdażyło się odbyć II Międzynarodowe Sympozjum Ostrzenia Noży (w skrócie: MSON), zdażyło nawet przyznać kilka medali wyróżniającym się urzędnikom Zarządu, a my w tym czasie na próżno wpatrywaliśmy naszego dziadka.

— Gdzie jest dziadek? — pytałyśmy nawet dzielnice, ale i on nie mógł udzielić odpowiedzi na to pytanie. A dziadek siedział już od dawna w Centralnym Zarządzie zajęty wypełnianiem kolejnych formularzy. Maszynka dziadka okazała się natomiast tak zdezolowana, że postawiono ją na honorowym miejscu w Muzeum Techniki. Już w najbliższych latach CZON-u zamie się produkcja maszyn do ostrzenia noży (w skrócie: MSON) i wtedy właśnie konkretnym wynikiem III Międzynarodowego Sympozjum Ostrzenia Noży (w skrócie: MSON), w naszej kamienicy panuje więc umiarkowany optymizm i tylko tepe noże niekiedy go mącą, bo do nieobecności powoli się przyzwyczajamy.

magazyn

AMBICJE

KULTURALNE BAŁUT

Inspirowanie i koordynacja działalności wychowawczej w placówkach upowszechniania kultury, rozwijanie amatorskiej twórczości artystycznej we wszystkich środowiskach społeczno-zawodowych, rozwijanie kolekcjonerstwa i ruchu hobbystycznego, popularyzacja dorobku instytucji artystycznych i stowarzyszeń twórczych, wzbogacanie form upowszechniania czytelnictwa, rozwijanie aktywności społeczno-kulturalnej mieszkańców — to tylko niektóre cele działalności Oddziału d/s Kultury Urzędu Dzielnicy Łódź-Bałuty wyznaczone na rok bieżący.

W 6 domach kultury, 11 klubach, 20 świetlicach społecznych

i wielu placówkach zakładowych, bardzo skrupulatnie realizowane są postulaty Oddziału. Nie można przy tym zapomnieć o bibliotekach. Dzielnicy Biblioteka Publiczna Łódź-Bałuty im. Stanisława Czernika, administruje 26 rejonowych bibliotek publicznych, w tym 14 z przeznaczeniem dla czytelników dorosłych i 12 dla dzieci i młodzieży. Sporo jest także zakładowych, szpitalnych i innych punktów bibliotecznych.

W większości bałuckich placówek upowszechnieniowych zatrudnieni są dobrzy fachowcy, którzy ponadto czują się powołani do stawianych przed nimi zadań, lecz oczywiście nie bądną takimi wielkimi optymistami.

mi. Oto czego sam kiedyś doświadczyłem: otóż zostałem poproszony do wzięcia udziału w Trybunie Literackiej organizowanej przez Dzielnicy Dom Kultury (ul. Limanowskiego 166). W ramach tej Trybuny miałem mieć wieczór autorski, a dr Tadeusz Błażejowski miał mówić wtedy o młodej poezji współczesnej (o ile dobrze pamiętam temat). Przyszliśmy, czekaliśmy, nie było komu czytać, ani też mówić, aż wreszcie przyszła... jedna mała myszka, tak sympatyczna, że dr Błażejowski i ja zaczęliśmy przekonywać koleżankę instruktorkę, że nie należy sprowadzać żadnego kota. Myszka, wiedząc zapewne, że ma w nas sprzymierzeńców bawiła się z nami w kotka i myszkę, a raczej w dwóch kotków i jedną myszkę. Następnie, na pytanie koleżanki instruktorki, ile ja biorę za spotkanie, odpowiedziałam, że jeśli jest publiczność i mam satysfakcję, trzy setki, jak każdy nie zrzeszony twórca, ale gdy nie ma publiczności i nie mam satysfakcji, proszę o pięćset. I otrzymałem tę sumę, ale i tak było mi przykro. Uczucie to jednak zrekompensowałem sobie myślą, że przynajmniej ta mała myszka ma gdzie swobodnie pobiegać i oby tylko takie koty się z nią bawiły jak ja i dr Błażejowski.

Opowiedziałem też historyjkę szefowi Oddziału d/s Kultury na Bałutach, pani Alicji Ogińskiej. — Dzielnicy Dom Kultury przy ulicy Limanowskiego 166

— rzekła pani kierownik — jest powołany do prowadzenia spraw instruktażu i informacji, jak i koordynacji działalności w dzielnicy, ale istotnie, nie wywiązywał się z tego zadania dobrze, czego przykładem jest pańska opowiadka z myszką...

— Rozumiem — przerwałem — styl retro...

— Robimy jednak wszystko — mówiła dalej pani kierownik — aby popularyzować poezję i obok Trybuny Literackiej będziemy prowadzili „Galerię Znaku i Słowa”, której inauguracyjne otwarcie odbędzie się 26 kwietnia w Domu Kultury R.S.M. „LOKATOR” (Rydzowa 6).

To oczywiście, że jeden przykład złej organizacji nie zdoła podważyć dobrej opinii o bałuckiej kulturze i jej znaczenia w realnych osiągnięciach dzielnicy na każdym polu społecznym i gospodarczym. Bałuty mają się czym pochwalić i nie są bynajmniej z kulturą na bakier. Na bakier noszą tu tylko czapki członkowskie znakomitego zespołu „BAŁUCIARZE” pracującego pod kierunkiem Tadeusza Mikołajczyka i powstałego (w maju 1972 roku) w tymże Dzielnicy Domu Kultury przy ul. Limanowskiego 166. Wszyscy znamy również Zespół Pieśni i Tańca „POL-TEX” z ZPB im. Juliana Marchlewskiego, jak i Zespół Tańca Związków Zawodowego Włókniarzy „HARNAM” z siedzibą w ZPB im. Szymona Hajnana. Te obydwie zespoły mają już

bodaj najwyższą rangę, bowiem już wielokrotnie reprezentowały nasz kraj za granicą. Do ewenementów artystycznych dzielnicy Bałuty zaliczyć należy także Chór Stowarzyszenia Śpiewaczego „HARMONIA”.

Ktokolwiek zapragnie poznać zespoły artystyczne Bałut, może się wybrać 24 maja do ZDK „Teofilów”, gdzie odbędzie się drugi Bałucki Przegląd Amatorskiej Twórczości Artystycznej. A takie przeglądy organizowane są przez Oddział d/s Kultury na Bałutach co kwartał. Ponadto, o dobrych stronach działalności kulturalnej bałuckich placówek upowszechnieniowych świadczy skromnie wydawany co miesiąc „Informator”, w którym wydrukowane są tematy imprez, odczytów lub spotkań, z podaniem dokładnej daty i miejsca ich realizacji. „Informator” ten można otrzymać w każdej bałuckiej placówce upowszechnieniowej, a więc w domach kultury, klubach, świetlicach i bibliotekach.

Jestem zadowolona — mówi Alicja Ogińska, szef Oddziału — ale nie w pełni... Nie wszędzie bowiem dajemy sobie radę, a największe kłopoty są z placówkami zakładowymi. Gdzie istnieją tradycje, tam oczywiście nie ma żadnych kłopotów, lecz boli to, że najczęściej złą pracę tłumaczy się brakiem tradycji, unikając tym samym bólów ich rodzenia...

Zrozumiemy tę wypowiedź lepiej, gdy się dowiemy, że

Oddział d/s Kultury nie jest jedynym autorytetem w skali dzielnicy znającym się na kulturze. O nie mniejszy autorytet zapobiega Łódzki Dom Kultury — wszechwładny, merytoryczny patron łódzkich placówek. No, a jeśli już mowa o tych zakładowych placówkach, to dodajmy, że muszą się one też liczyć ze zdaniem własnych Związków Zawodowych. Czasami to oczywiście pomaga, wzbogaca pracę w wielość pomysłów i inicjatyw, ale czasami daje możliwość wykreślenia się od czegoś... I wtedy potrzebne są różnego rodzaju porozumienia, takie jak to pomiędzy Oddziałem a Łódzką Radą Związków Zawodowych dotyczące uruchomienia dzielnicy funduszu rozwoju kultury, do którego dopiero ma dojść.

Wszelkie kłopoty jednak są po to, aby się z nimi borykać, a Oddział d/s Kultury Urzędu Dzielnicy Łódź-Bałuty działa z rozmachem i możemy być pewni, że przezwycięży wszystkie napotymane trudności, tym bardziej że myśli przewodnią bałuckich działaczy stanowi formuła zaczerpnięta z długofalowego programu rozwoju kultury uchwalonego przez Biuro Polityczne KC PZPR brzmiąca następująco: „Kultura, ukształtowana zgodnie z jej socjalistycznym modelem, powinna zapobiegać rozluźnianiu więzi społecznej i wyobcowaniu jednostek”.

A. W. MIKOŁAJEWSKI

MAŁE KINO

Najlepsze te małe kina K.I.G.

LISTY DO REDAKCJI

Ciekawą i dawno wyczekiwana inicjatywę podjęła grupa paradyktamentalistów przy WRFK (Wydawnictwo Realistycznych Filmów Kulektorskich). Grupa realizuje cykl filmów poświęconych listom pisany przez czytelników do redakcji popularnych periodyków. Na pierwszy ogień pójdą listy do czasopisma „Zyjmy Dłużej”, pełne zrozumiałego rozczarowania, bo pisane przez czytelników, którzy pomimo rygorystycznego przestrzegania wskazówek i porad popularnego tygodnika, jednak nie pozylili dzieł.

TRZEBA JESZCZE POCZEKAĆ
Znany angielski filmowiec naukowy i działacz społeczny G. Ros-

bratel stwierdził ostatnio publicznie, iż gdyby wszyscy widzieli na kul ziemskiej, tknieci serdecznym impulsem nagle podali sobie dlonie, to powstałby widok wzruszający i wysoce pozytywny. Niestety, od zrealizowania tej wizji dzieli nas wiele przeszkód, jak płaskie nacjonalizmy czy obawy przed okradzeniem w momencie, gdy dlonie zajęte będą uściskiem

KIERUNEK SPÓJRZENIA

Ku obrzymiej satysfakcji postępowych telewizorów, amerykańskie programy rozrywkowe obniżają swój poziom z minuty na minutę. Ostatnio na przykład, w stacji Da-kota przytwierdzono na głównej ulicy miasta strzałkę z napisem: „Niezła panienka”. Następnie na ekranach telewizorów pokazywano bez żenady twarze mężczyzn, patrzących w kierunku wskazanym przez strzałkę. Głupia zabawa popsula dopiero wycieczka polska grupy „Gromada”, która nie dała się sprowokować. Nasi dzielnicy wycieczkowiec kierowali swoje skłupie spojrzenia jedynie w stronę witryn sklepowych.

NIE UFAMY TYTUŁOM

Znany krytyk filmowy średniego pokolenia przestrzegł zyczliwie wszystkich potencjalnych adaptatorów, iż wartościowy cykl H. Balzaka „Komedia Ludzka”, wbrew

sugestiom zawartym w tytule nie jest wcale utworem wesołym. Adaptatorów, których wiadomość powyższa przykro rozczarowała, znany krytyk pocieszył, iż w postępowym dziele T. Dreisera „Tragedia amerykańska” uważnie czytając od czasu do czasu można znaleźć coś do śmiechu. Znany krytyk podkreślił, iż oba dzieła przeczytał i śmiał się oraz płakał we właściwej kolejności.

KONIEC ŚIWKA

Japońskie środowisko kulturalne wstrząśnięte zostało zgonem filmowego śiwka, nazywanego przez publiczność z miłością „Ha Sa Nek”. Ha Sa Nek był kontem wyjątkowo inteligentnym i potrafił potykać się na każde życzenie. Dawało to możliwość samurajowi, grającemu główną rolę w filmie na wygoloszenie sentencji po japońsku: „Kto ma cztery nogi i też się potknął”. Po uwadze tego typu, przy braku pomysłu na film znacznie łatwiej było jakoś wymyślić dalszy ciąg akcji. Kine-matografii japońskiej bardzo brak będzie poczytowego Ha Sa Neka...

ADAM CZEKAŁSKI

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

DO PANI IRENY JAROCKIEJ

Pragnę wyszeptać tyle: „Ja też jestem motylem!”

WIECZNE PRETENSJE

Róża z pretensjami do słowik
„Śpiewasz pięknie, a mnie nie dotykasz!”

WIOSENNE OSŁABIENIE

Taki jestem straszliwie słaby; A tu mi słońce rozbiłera baby.

Z ELEMENTARZA

„ALA MA KOTA!”
Na punkcie złota.

BIBLIJNIE

Nareszcie sami: „Pieśń nad pieśniami!”

KOMU ZAZDROSZCZĘ

Wiatrowi zazdroszczę okropnie, Bo wszędzie zagłada i... dotknę.

WIOSENNY IMPERATYW

Kotki się na witekach puszą, Dzweczny kochać chłopców muszą!



ROK BIBLIOTEK I CZYTELNICTWA

Iwona Książek — kier. Działu Zbiorów Specjalnych MBP im. L. Waryńskiego

— Jaka jest współczesna biblioteka?

— Wzrasta ilość i jakość tzw. zbiorów specjalnych w bibliotekach i to nie tylko w bibliotekach specjalistycznych, np. technicznych, które od dawna gromadziły normy, patenty itp., ale również w bibliotekach uniwersalnych. Mikrofilmy uzupełniają brakujące numery czasopism, zastępując w codziennym udostępnianiu szczególnie cenne zbiory. Specjalna aparatura pozwala na ciche słuchanie płyt gramofonowych. Do dyspozycji czytelników są opracowane dokumenty życia społecznego, tzw. druki ulotne, prospekty, programy teatralne, afisze, zaproszenia, fotografie, wydawnictwa firm handlowych. Po kilku latach systematycznego gromadzenia rzeczy te są prawdziwą kopalnią wiadomości o różnych aspektach życia miasta czy regionu. Najciekawsze wystąpienia władz czy spotkania z wybitnymi autorami utrwała się na taśmach magnetofonowych. Biblioteki udostępniają również różnego rodzaju mapy, plany miast, oryginalną grafikę i rysunki. Prowadzą również poszerzoną informację dotyczącą tego rodzaju zbiorów. Współczesna biblioteka to nie tylko rządy książek i czasopism, ale i inne źródła informacji.

Danuta Daszkiwicz — Dział Zbiorów Specjalnych MBP im. L. Waryńskiego

— Czy istnieje etyka bibliotekarska?

— Moim zdaniem nie istnieje etyka bibliotekarska, ponieważ istnieje po prostu etyka, czyli zespół norm moralnych, obowiązujących wszystkich ludzi w jednakowym stopniu. Bibliotekarza musi cechować, oprócz wiedzy ogólnej i fachowej, ży-

ciwłość dla czytelnika i chęć udzielenia mu rzetelnej informacji. Musi on nie tylko umieć, ale i chcieć pomóc czytelnikowi. Czytelnik może nie mieć czasu na szperanie w katalogach dla znalezienia potrzebnych sobie wiadomości. Natomiast bibliotekarz, jako fachowiec, a trochę też detektyw, musi umieć zaproponować czytelnikowi odpowiednią literaturę czy też udzielić informacji i rady. Czytelnik powinien być przeświadczony, że bibliotekarz zrobił wszystko co mógł, aby mu pomóc.

Krystyna Macińska — Biblioteka PWSM

— Wasza praca w kilku zdaniach?

— Oni — śpieszą się. Muszą przeczytać książki, przesłuchać płyty, wypożyczyć nuty do dyrygowania, wykładu, egzaminu, recitalu, koncertu, konkursu, artykułu na tematy muzyczne...

— My — staramy się odnaleźć, sprowadzić potrzebne im pozycje, wyjaśnić, pomóc poprzez katalogi, bibliografie, gromadzenie, opracowanie udostępnienie...

Cieszymy się, jeśli to, co im udało się osiągnąć, wraca do naszych wspólnych zbiorów jako praca dyplomowa, program, recenzja, nagranie lub zagraniczny plakat z polskim nazwiskiem...

Aleksandra Trafalska — kierownik 21 RBP dla Młodzieży L — Bałuty, ul. Zubardzka 3

— Jakie są przyczyny wyboru zawodu?

— W moim przypadku zdecydował przypadek. Mogę tu jedynie mówić co sprawiło, iż w nim pozostałam — a jest to już siedem lat. W mojej pracy najwyższą cenę kontaktuję z ludźmi, to one właśnie ciągle i na nowo mobilizują mnie do działania, do szukania nowych

form pracy polegających uczestnictwo w kulturze. Biblioteka jest wspaniałym „mostem” łączącym odbiorcę (czytelnika) z twórcą (pisarzem, grafikiem). Ludzie i książki — to cała tajemnica.

Starszy kustosz dypl. mgr Michał Kuna — BUL

— Jakim zmianom uległa działalność bibliotek w okresie ostatnich lat?

Zmiany ilościowe w bibliotekarstwie polskim są imponujące. Za największe wydarzenie ostatnich lat uważam opracowanie przez aktywne środowiska bibliotekarskie „Raportu o stanie bibliotek”. Mamy przed sobą zadania, o których przeciętny „wypożyczacz książek” nie ma zielonego pojęcia.

— Jakie są perspektywy zawodu bibliotekarskiego?

Perspektywy? Jak w każdym zawodzie. Dobre są dla dobrych i świadomych swego działania bibliotekarzy. Kiepskie dla tych, którzy pracują w różnych typach bibliotek i bardzo łatwo opuszczają biblioteki, przechodząc np. do pracy w administracji, biurze przedsiębiorstwa produkcyjnego lub handlu artykułami dzielnymi.

— Dlaczego w społeczeństwie pokutują krzywdzące opinie o pracy czy zawodzie bibliotekarskiego?

Opinie krzywdzące zawód bibliotekarski są ani gorsze ani lepsze od tych epitetów, które sprowadzają się do porzekadła w rodzaju: „Obyś cudze dzieł uczyl”, „Japiduch”, „zarękawnik”, „głina” etc. Przeciętny użytkownik biblioteki widzi tylko ladę biblioteczną. Nie zdaje sobie sprawy jaki trud poparty wadzą gości w bibliotecznych salach. ZBYT MAŁO O SOBIE MÓWIMY I PISZEMY.

Oprac. GRAŻYNA IZBIŃSKA GRAŻYNA BANASIAK